Nr. 25. Poznań, niedziela 21-go czerwca 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“
wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28, **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

Od Redakcyi.

Dzielimy się z czytelnikami naszymi wiadomością, że z dniem 1-go lipca przechodzi »Przegląd Poznański« na własność nowej spółki wydawniczej, która postanowiła dołożyć wszelkich starań i żadnych ofiar nie szczędzić, by jedyny ten w całym zaborze pruskim postępowy tygodnik nietylko utrzymać, lecz coraz więcej ulepszać. W tym celu redakcya pozawierała już umowy z całym szeregiem nowych współpracowników, wśród których znajdują się nazwiska najwybitniejszych publicystów polskich. Starać się będziemy mianowicie o to, by rubryki poświęcone sprawom społeczno-politycznym tak pod względem aktualności jak różnolitości materyału udoskonalić a dział literacki zamienić w zwierciadło odbijające wszystkie prądy pulsujące w piśmiennictwie polskiem. Do części belletrystycznej Przeglądu znajdą wstęp tylko utwory, wykazujące ślady wybitniejszego talentu, a feljetonowe pogadanki pozostaną nadal śmiałą krytyką palących kwestyi publicznego życia.

Próg nowego kwartału przestępujemy z zapasem sił nowych, nieugięci ciężką walką i pewni zwycięstwa. Jedna chwila, choćby największego wysiłku i męstwa, nie zdobywa jutra, lecz w tem biednem, zdemoralizowanem i zbłąkanem społeczeństwie praca nasza nie pozostała bez śladów, i młoda opozycya, którą w pewnych kołach uważano za efemerydę, staje się cyfrą poważną. Tem słowem wiary i nadziei rozpoczynamy nowy okres naszego istnienia.

POLITYKA.

Typy germanizatorów *górnoszląskich*.

II.

Sylwetka księdza germanizatora Grunda z Mikołowa, w poprzednim numerze „Przeglądu“ skreślona, jest tylko małą cząsteczką wielkiego obozu księży germanizatorów na Górnym Szląsku. Takich sylwetek można zebrać bez porównania więcej, co najmniej ze trzysta. Oczywiście nie będę czytelników nudził wyczerpującym obrazem tych wszystkich bohaterów z pod chorągwi Bismarcka, których fizyognomie polityczne bardzo są do siebie zbliżone — skreślę tylko jednę jeszcze sylwetkę duchownego germanizatora, a jest nim ks. dr. Kremski, proboszcz z Rybnika. Ksiądz ten zajmuje wyższe w hierarchii duchownej stanowiska od poprzednio opisanego wikaryusza, a jako starszy wiekiem i doświadczeniem, oraz niezły mówca, popiera germanizacyjne swoje zapędy zręczną argumentacyą i jaskrawą retoryką. Powtarzam tu krótki ustęp z dłuższej mowy księdza dr. Kremskiego, wygłoszonej na pewnem zgromadzeniu polskich wyborców a wypowiedzianej naturalnie po niemiecku, pomimo bezustannych protestów zgromadzenia. Ustęp ten przytaczam w dosłownem tłomaczeniu z gliwickiej gazety niemieckiej „Oberschlesiche Volksstimme“:

„Wszyscy mogą tu głos zabierać, ale nie trzeba stawiać żądań niemożliwych. „Nowiny Raciborskie“ twierdzą, że germanizatorów należy zwalczać wszelkiemi środkami... (ze strony polskich słuchaczy potakiwania: Tak!)

„Czekajcież tylko. Co to znaczy „wszelkiemi środkami“? Wszelkiemi środkami siły moralnej i fizycznej? (zaprzeczenia ze strony polskich słuchaczy co do siły fizycznej). A więc dobrze. Zastanówcie się, czy rząd to ścierpi, gdy takich „wszystkich“ środków użyjecie? Czyż rząd, gdy wy będziecie gwałtownie występować, gwałtu przeciw wam nie użyje, co przecież z waszej winy nastąpi? Któż wtedy straci? (oburzenie u polskich słuchaczy). Ludzie, którzy to piszą, nie znają usposobień ludu. (Głośne zaprzeczenia). My księża znamy go i dobrze pojmujemy. Gwałtów nie dopuścimy. Wiem, że to, co wam mówię, mówię na wiatr; spełniam jednak mój obowiązek i ostrzegam was. (wielkie i krzykliwe oburzenie). Tak, a więc więcej mówić nie mogę.“ (Wzmagające się oburzenie.)

Księdza dr. Kremskiego starał się poprzeć ksiądz wikaryusz Grund z Mikołowa. Powstał tedy i rozpoczął swoją mowę tak: „Dziwię się bardzo, widząc tu prądy niebywałe dotąd na zgromadzeniach katolickich. To przecież jest duch rewolucyi“....... (Okropny wrzask. Tumult. Zgromadzeni pchają się naprzód całą siłą i niepozwalają dokończyć mówcy rozpoczętej mowy.)

W rezultacie przewodniczący zamknął zebranie, a żandarm wskoczywszy na stół, wezwał zgromadzonych do natychmiastowego opuszczenia sali.

Po księżach zwracają główną uwagę w szeregach germanizatorów nauczyciele szkół ludowych, i to wszyscy prawie bez wyjątku. Tępią oni narodowość polską w interesie osobistym, bo gorliwość w germa-

nizowaniu dzieci szkolnych zapewnia im łaski przełożonych, daje nadzieje uzyskania korzystniejszej posady i przynosi od czasu do czasu zarobek w formie nagród od 50 do 100 marek wynoszących.

Nauczyciele obowiązki swoje w kierunku germanizacyjnym spełniają gorliwie, dokładając nietylko w szkole, ale nawet po za szkołą wszelkich starań, aby dzieci polskie jaknajszybciej zniemczyć. W szkole za każde słowo polskie przez dzieci wymówione karcą je niemiłosiernie, bijąc często trzcinami po twarzy, plecach, i rękach. Pokazywano mi dziewczynkę, dziewięcioletnią z sinemi, krwią nabiegłemi pręgami na szyi i pokaleczonemi palcami u rąk. Winą jej była gawęda w ojczystym języku. Opowiadały mi dzieci, że „f r e l k i", (tak na Szląsku dziatwa zowie nauczycielki) są niemiłosierniejsze od „r e c h t u r ó w" tj. nauczycieli, bijąc dzieci bez litości i upamiętania. Tak! świszczy trzcina, świszczy za lada drobnostkę, a biada dziecku, które przyniesie do szkoły zeszyt do pisania lub książkę do nauki, obwinięte w polską gazetę.

W pewnej szkole w okolicy Katowic nauczyciel zbił niemiłosiernie dziecko za to, że przyniosło do szkoły polski elementarz, a elementarz wrzucił do pieca. Inny nauczyciel w okolicy Bytomia okazał gorliwość swoją nawet po za szkołą. Będąc w jednym z sklepów kolonialnych zauważył, że kupiec i jego pomocnicy mówią z dziećmi po polsku. Poprosił więc kupca, aby „d l a d o b r a s p r a w y", on i jego pomocnicy mówili odtąd z dziećmi tylko po niemiecku, a kupiec posłuchał „p a n a r e c h t u r a" i podwładnym swoim odpowiednie wydał rozkazy. Źle jednak wyszedł na swojej powolności i gorliwości „dla dobra sprawy". Miejscowość bowiem fabryczna zaludniona była polskimi ludźmi, a matki oburzone na kupca, że użyć się pozwolił za narzędzie germanizacyjne, zaprzestały solidarnie od niego kupować. Czyż u nas w Poznańskiem znajdzie się przykład podobny?

Jak lud polski na Górnym Szląsku usposobiony jest względem nauczycieli, o tem daje wyobrażenie wyciąg z niemieckiej gazety, który tu w dosłownem tłomaczeniu przytaczam.

Gazeta gliwicka „Oberschlesische Volksstimme" tak reprodukuje mowę niejakiego T h o m a s a, wygłoszoną w języku polskim na przedwyborczem zebraniu: „Komitet zaleca nam, aby pana Latacza na posła do Berlina wybierać. Toż samo niemieckie gazety zalecają. Lecz czemże są niestety górnoszląscy nauczyciele? Są oni wszyscy g e r m a n i z a t o r a m i. I jakąż to przynoszą nam pociechę? Pochodzą z ludu, idą do miasta, zostają wielkimi panami, wracają do nas i depczą nas nogami. Idziesz do nauczyciela z prośbą, to nic nie wskórasz, a często cię oskażý przed prokuratorem. Ale on? Braknie mu tylko drzwiczek do pieca, to sołtys zaraz biedz musi i starać się o nie". (Niemcy nie pozwalają mówcy dalej mówić. Wołania: O b r a z a!) Objaśniam, że ten mówca z niemieckiem nazwiskiem: „T h o m a s m ó w i ą c y p o p o l s k u" tak gazetę niemiecką zadziwił, że przy nazwisku jago postawiła znak pytania. Jest to poważny wiekiem, rozumny gospodarz wiejski; mowa jego dobitnie charakteryzuje wszystkich nauczycieli górnoszląskich, a więc i „p a n a r e c h t u r a L a t a c z a z K a t o w i c" tak gorliwie, tak usilnie i wszelkiemi środkami popieranego na posła do sejmu przez księży germanizatorów.

Maksymilian Ocetkiewicz.



Przegląd prasy polskiej.

O ś w i a t a l u d u w G a l i c y i. „Przegląd Wszechpolski" rozpoczął w najświeższym numerze szereg artykułów o instytucyach galicyjskich służących oświacie ludowej. Pracę tę poprzedza wstęp nader ciekawy, z którego cytujemy ustęp następujący:

„Bez mała wszystkie ważniejsze, w zasoby dziś silne i powszechnem cieszące się poważeniem instytucye publicznego dobra, wszystkie, co choćby tylko w pośrednim lub słabym stoją związku z patryotycznem, narodowem dążeniem, powstały w Galicyi i rozwijały się przez długi szereg lat bez najmniejszego udziału, a często nawet wbrew zaciętemu oporowi i przeszkodom ze strony umiejętnie dziś podnoszącego swe zasługi stronnictwa stańczykowskiego, ktore, w każdym objawie samodzielnych usiłowań wietrząc zarodki spisków i żywotność zasady „*l.berum conspiro*", a zarazem zamach na własny swój wpływ i powagę, posługiwało się najrozmaitszemi środkami, — w których umie być zresztą niewybrednem — aby tylko stłumić i wyplenić z gleby narodowej każdy posiew, który bez nich piękne rokować mógł żniwo. Ale też z drugiej strony partya ta pierwszą znów była i jest zawsze do tego, aby widząc, że ta lub owa instytucya, mimo systematycznych ataków i podkopywań wzrosła, wzmogła się i, materyalnie zwłaszcza, na pewnych, jak to mówią, stanęła nogach, w stosownej chwili zręcznie nią owladnąć, nagiąć i skrzywić do własnych celów, a zasługę rozwoju w końcu, — jeżeli się da, nie dzieląc jej zgoła z tymi, którzy ją naprawdę położyli, — sobie samym wbrew prawdzie i rzeczywistości całą wyłączną przypisać.

Ofiarą tej zawziętej, stronniczej, wielokrotnie wypróbowanej taktyki było np. przez czas długi zasłużone Towarzystwo pedagogiczne, a są dotąd — bez najmniejszej zresztą stąd szkody dla siebie — Towarzystwa gimnastyczne „Sokół" w Galicyi Takie same koleje przechodziły też wszystkie instytucye, wprost i bezpośrednio poświęcone ludowi. Dzieje „Kółek rolniczych", Towarzystwa „Oświaty ludowej", „Macierzy" nawet, stwierdzają na sobie również długoletnie ślady niechęci galicyjskiego konserwatyzmu. Jest w tem przedewszystkiem wymowny dowód, że ci właśnie, którzy wątpliwe prawo wynalazku idei „pracy organicznej" sobie przypisują, do urzeczywistnienia „idei" w praktyce najmniej się przykładali, — a dalej jest w tem także do pewnego stopnia rozwiązanie zagadki, dlaczego w Galicyi, która od lat trzydziestu znajduje się niewątpliwie w lepszych, niż inne dzielnice Polski, warunkach politycznych, oświata ludowa mimo usilnych, ćwierćwiekowych starań, tak strasznie powoli postępuje naprzód.

Wyprawa na Olymp.

Komedya fantastyczna w 1=ym akcie,

oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza

(D o k o ń c z e n i e).

SCENA VI.

Ciż: i Zoilkiewicz (który podczas ostatnich słów wszedł na scenę z prawej strony i zatrzymał się na skale, przyglądając się zebranym).

Farsalski: (poprawiając na sobie ubranie i przyczesując włosy, przegląda się w małem kieszonkowem lusterku) Trzeba się trochę oporządzić!... Niech muza wie, że ma do czynienia z dyrektorem comme il faut!

Filisterski: (do Farsalskiego) Cóżeś się dyrektor tak wyelegantował?

Farsalski: No jakżeż?... z pierwszą wizytą i w deputacyi.

Filisterski: No i ja w deputacyi od publiczności, ale znów frak, białe rękawiczki, za dużo parady.

Farsalski: W jakimże pan właściwie charakterze? (otrzepuje sobie buty chustką).

Filisterski: Ja?... ja, co prawda, z żaleniem. My się nudzimy kochany dyrektorku. Sztuka upada, repertuar pod psem, talentów brak. To tak dalej potrwać nie może! My za nasze pieniądze mamy prawo wymagać, ażeby nas bawiono. Człowiek nie po to przychodzi do teatru, aby ziewał. Od czegoż jest tu jakaś Melpomena i Thalia? Ja jej palnę *verba veritatis*, że jej aż w pięty pójdzie. Kiedy się zajmuje sztuką, to niech robi porządek Co to jest?... My, publiczność, jesteśmy poszkodowani. Wasz teatr dzisiejszy, to proszę pana szopka, to buda, to skandal!... Nam się już sprzykrzyło patrzeć na starzyznę, my chcemy coś nowego, my za to płacimy!...

Polip: A rozumie się!... brawo publiczność!...

Głodysz: I pan także?... pan przecież chodzisz za darmo do teatru.

Polip: To też mogę wymyślać bezinteresownie.

Głodysz: Ale chwalić pan bezinteresownie nie możesz?...

Polip: A nie mogę, bo to jest wbrew mojemu przekonaniu.

Głodysz: Panie Polip, pan powinieneś się nazywać Pijawką.

Polip: Czekaj pan, ja pana za to zerznę przy najbliższej sposobności!.. ja panu pokażę, co znaczy prasa!... Ja pana sprasuję na opłatek!...

Oczko: Ale mnie zrobisz reklamę, prawda?... Kochasz Pimpcię, redaktorku?... Prawda, że kochasz?... Tę Łydkiewiczównę to chwalisz w każdym numerze, a to przecież krowienta, że nie idzie dalej!... Wszystko ma wypchane, daję słowo uczciwości!

Eimer: (który przez ten czas usiadł na skale w głębi i zajadał butersznyty, rozwinięte ze starego Kuryera) Panie redaktorze, odkorkujno pan moją kartę wizytową, napijemy się! A możeby pan co przekąsił?

Polip: Można! — czemu nie? (wyjmuje butelkę zabraną Eimerowi i przygląda się jego wiktuałom).

Eimer: Tu na tym Olympie to powietrze człowieka wytrawia. Ja nabrałem apetytu!... (do Głodysza) A widzi pan, coby znaczyła sama sztuka bez butersznytów!... Nie żenuj się pan, proszę! (podsuwając mu zakąski) Ja pana znam! pan ma tylko takie ostre zęby, dopóki pan na nie czego nie położy.

Głodysz: Nie znam pana! (odsuwa się od niego wyniośle).

Zoilkiewicz: Brawo, Głodysz... to była dobra poza!... mogłaby ci się przydać do Don Carlosa.

Farsalski, Filisterski i Głodysz: (spostrzegając go jednocześnie) A, pan Zoilkiewicz!.., nasz krytyk!... nasz autor!...

Farsalski: (z wielkiem uszanowaniem) A pan redaktor zkąd się tu wziął?... Co za niespodzianka!...

Filisterski: Jakżeż pan drogę znalazł?...

Zoilkiewicz: Krytyka idzie śladami sztuki, drogi panie. (ściskając rękę Oczkównie) Jak się masz Pimpciu?... i ty tu także?... kocham cię, daj pokój swoim naiwnym minkom! Wiem, o co mnie chcesz zapytać. Państwo, jak widzę, zrobiliście formalny najazd na biedny Olymp!... Cóż muzy?... żyją jeszcze te biedaczki?...

Farsalski: A żyją i właśnie czekamy na audencyę.

dlaczego wyniki tej pracy tak stosunkowo małe są i niewydatne.

Rzecz jasna. W innych krajach, (bliski przykład Czech mimowoli się tu nasuwa), obywatelska praca nad kulturalnem podźwignięciem warstw nieoświeconych uchodzi za rzecz zupełnie naturalną, od której uchylać się nikomu nie wolno, staje się treścią narodowego dążenia, jednoczy i skupia ludzi najrozmaitszych przekonań, dokonywa się ofiarnością całego społeczeństwa. U nas przeciwnie: z razu trzeba się było co krok potykać o nieznane gdzieindziej przeszkody, pokonywać mimowolne przesądy, rozmyślną złą wolę i podejrzenia, walczyć z brakiem niezbędnych środków materyalnych, a poczucia i ducha ofiarności wyrabiać dopiero w społeczeństwie, wewnętrznie rozdartem i stańczykowską trutką systematycznie znieczulanem. Tak zwane „czoło narodu“, szlachta, a raczej ogół właścicieli ziemskich, ulegający bezpośrednio hypnotycznemu wpływowi „organiczników“, z małemi wyjątkami od „anarchistycznej“ roboty trzymał się zdala, o popieraniu jej ani myśleć nie chciał, ani mówić sobie nie dawał. Od ludu wiejskiego, który żyjąc w ciemnocie i nędzy, znaczenia oświaty nie rozumiał zgoła, nikt ofiarności żądać nie miał pr. wa, co najwięcej zadowalniać się było trzeba, gdy włościanin chleb duchowy, jaki mu podawano, przyjmował nieobojętnie. Pozostała więc właściwie tylko jedna warstwa społeczna, mieszczaństwo, słynące z ofiarności od dawna, skore i dziś zawsze do popierania ogólno-narodowych celów, samo jednak, niestety, dzięki opiekuńczym rządom austryackim zubożone i materyalnie słabe.

A przecież mimo to wszystko, w Galicyi brakiem szkół i milionową analfabetów cyfrą zniesławionej, ogólny poziom oświaty ludowej nie przedstawia się tak rozpaczliwie, jakby sądzić można. Do ideału wprawdzie bardzo jeszcze daleko, że się jednak powoli do niego zbliżamy, to fakt niezbity, któremu przeczyć może tylko niepoprawny pesymizm. Zwyczajnych przybytków oświaty pozbawiany lud polski w Galicyi, powołany wszakże bądź co bądź od czasu nastania w Austryi ery konstytucyjnej do pewnego bodaj czynnego udziału w życiu publicznem i politycznem, nadspodziewanie szybko dojrzewa w tej twardej szkole życiowej, a jeżeli już nie co innego, to świadczy o tem wymownie potężniejący z dniem każdym ruch ludowy, który przy ostatnich wyborach na pierwszy strzał wprowadził do Sejmu zdrowy, chłopski żywioł, reprezentowany w kilku wybitnych pracowitych i zdolnych jednostkach, a w najbliższym czasie świecić będzie niewątpliwie dalsze jeszcze i większe tryumfy. Ten ruch ludowy w Galicyi — pod wielu względami do ruchu wielkopolskiego podobny, — byłby zapewne i dziś jeszcze albo wcale się nie zrodził, albo przynajmniej nie wystąpił odrazu z taką siłą żywiołową, gdyby mu stosownego podkładu nie była przygotowała teoretyczna, co prawda, ale mrówcza działalność stowarzyszeń i instytucyi, pracujących od szeregu lat nad tem, aby „z ducha gminu błysnęła w ogniach twarz człowieka“.

* * *

„Centrum“ na Warmii. Z powodu ostatniego zebrania katolickiego centrum w Olsztynie zamieściła „Gazeta Olsztyńska“ kilka uwagi godnych artykułów, z których podajemy ustęp końcowy:

„Uznając wogóle zasługi centrum około języka polskiego, wyrazilibyśmy przedewszystkiem życzenie, aby też nasi centrowi działali w myśl tego centrum. Cóż to pomoże, że się wybiera do centrum, cóż to pomoże chwalić całe centrum, kiedy się wedle zasad i słów tego centrum nie postępuje? Tu leży właśnie sęk, który do niezadowolenia u nas najwięcej się przyczynia. Nie może centrum ani posłowie polscy przywrócić języka polskiego do szkół, ale jest jeszcze wiele innych spraw, gdzieby można i powinno się język polski uwzględnić, a czego jednak nasi centrowcy nie robią. Głową trudno mur przebić, więc niemożebnych rzeczy nie żądamy, ale wiele dałoby się zrobić dla polskiego języka u nas, wieleby nasi centrowcy zdziałać mogli, ale w ich uczynkach nie widać tej życzliwości dla nas, jakiej nam całe centrum daje dowody.

„Próżno się w Berlinie wadzisz, kiedy doma nie uradzisz“, możnaby powiedzieć naszym centrowcom, gdy widzimy, że polska nauka przygotowująca do Sakramentów św. ustaje, że rodzicom, żądającym aby ich dzieci po polsku były do Sakramentów św. przygotowywane, odpowiada się, że Pan Bóg po niemiecku rozumie, że polskie śpiewy kościelne idą w zapomnienie. Centrum może sobie w Berlinie płuca popsuć od ciągłego proszenia i dopominania, nam tu, zanim słońce wejdzie, rosa dawno oczy wyje. Tu jest żniwo wielkie i wdzięczne pole do pracy i zgody, bez szumnych mów i wychwalań. Gdy tu widzieć będziemy sprawiedliwość nam na każdym kroku wyrządzoną, gdy będziemy widzieli, że i u nas duch centrum jest nietylko w słowach, ale i w uczynkach i w sercu, wtedy z pewnością bez wszelkich wielkich zjazdów i zebrań, bez palenia sobie wzajemnie kadzideł, uznamy to wszyscy, że nietylko centrum w Berlinie, ale i ci, co do centrum u nas wybierają, tym samym ożywieni są duchem i za wolność, prawdę i prawo nietylko dla siebie, ale i dla Polaków, o których głosy im chodzi, chcą walczyć. Wtedy usunięta byłaby nieufność, jaką mamy nie dla centrum, ale właśnie dla tych jednostek centrowych u nas“.

— ski.



Z literatury polskiej.

Kwartalnik historyczny. Organ Towarzystwa historycznego, założony przez Xawerego Liskego, pod redakcyą Aleksandra Semkowicza. Rocznik X. Zeszyt I i II. Lwów 1896. w 8-ce str. 1—255 i 256—486.

Pierwsze dwa zeszyty wydawnictwa tego, które od początku roku zeszłego przeszło z pod kierownictwa prof. O. Balzera pod również umiejętne prof. A. Semkowicza, a którego część nakładu [druk i papier] wziął na siebie Żakład narodowy Ossolińskich, darzą nas znowu ważnemi i ciekawej treści rozprawami, miscellaneami, recenzyami itp. Na czele zeszytu I-go umieszczono obszerną rozprawę dr. Antoniego Prochaski pt. „Stosunki Krzyżaków z Giedyminem i Łokietkiem“, w której autor odsłania całą sieć in-

---

Zoilkiewicz: Co widzę!... i pan Eimer z uszanowaniem także?

Eimer: (z pełnemi ustami) Sługa pana redaktora.

Zoilkiewicz: Jesteśmy tedy w komplecie: dyrekcya, artyści, publiczność, reporterya i restauracya!...

Farsalski: (z przymileniem) No i krytyka!... cóżbyśmy znaczyli bez krytyki.

Zoilkiewicz: Bez reporteryi, bez reporteryi, kochany dyrektorze! Krytyka jest jak deszcz, który was od czasu do czasu zleje, ale reporterya jest, jak rosa, która was codziennie skrapia.

Eimer: (z westchnieniem) Aj kropi, kropi, ale przy bufecie.

Zoilkiewicz: (do Farsalskiego) I z czemże dyrektor się aż na Olymp wybrałeś?

Farsalski: Ja w interesie i sztuki i sceny: chciałbym się oddać w szczególną opiekę Melpomenie i zciągnąć ją na ten sezon do mojego teatru, jako protektorkę.

Zoilkiewicz: Aż tak?... fiu, fiu!... a cóż jej pan za to myśli ofiarować?

Farsalski: Co zechce, panie redaktorze!

Zoilkiewicz: Nawet miesięczną gażę z góry?...

Farsalski: Z góry?... Kiedy ja zaliczek nie daję nikomu. Mało to mnie zarwali?... Zresztą, taka pani grosza nie potrzebuje. Jeszcze ja od niej mógłbym się spodziewać malutkiej subwencyjki. Scena potrzebuje poparcia. Mam nadzieję, że przy łaskawem pośrednictwie Melpomeny uda mi się pozyskać względy prasy i publiczności (podając ręce Filisterskiemu i Zoilkiewiczowi). Popierajcie sztukę, dobrodzieje!... Bez waszej protekcyi — klapa generalna!.. Słowo honoru!

Zoilkiewicz: Sztuka niech się sama proteguje, to najlepsza rękojmia powodzenia. Ale z tem coraz trudniej Zatęchło dziś w państwie sztuki, trzeba nowości. Powtarzam wam to ciągle. Nowości, nowości!... W tym celu właśnie przybyłem zrobić tu małą konferencyjkę z Melpomeną i zażądać od niej pewnej reformy w teatrze, w sztuce, w komedyi i dramacie. Trzeba raz zerwać z rutyną, moi drodzy!.. Co do was, mogę wam dać tylko jedną radę: grajcie dobrze dobre rzeczy, a powodzenie was nie minie!

Głodysz: A co ja zawsze dyrektorowi powtarzam?... Dawajcie mi dobre role, a zobaczycie!,.. A nie — niech rozstrzygają muzy, czy wolno talenta marnować. Ja w imieniu talentów przyszedłem aż na Olymp upominać się o nasze prawa!... (chrząka) Pozwólcie mi tylko pierwszemu przemówić. Artyzm powinien mieć przedewszystkiem głos...

Polip: (złośliwie) Niezachrypnięty.

SCENA VII.

Ciż, Melpomena, Thalia, kilka Muz i Merkury (ukazują się na wzgórzu przed potokiem). (Podczas poprzedniej sceny ściemniło się, w głębi tylko czerwony blask zachodzącego słońca staje się coraz silniejszym).

Merkury: (zmieniony zupełnie w dorodnego młodzieńca, ze skrzydełkami u nóg, w niebieskiej tunice, złotych ciżmach, z laską herolda (caduceus) w ręku. Za jego ukazaniem się pod portykiem pada z głębi jasność, jakoby od Muz, które z Melpomeną na czele grupują się pomiędzy dwiema kolumnami). Przystąpcie śmiertelni!... wzywam was!... olśnione zwróćcie oczy!... Kto tu do Muzy sprawę ma, niech przed nią ją wytoczy! Jam jest Merkury, lotny bóg, odmłodzon przed wami staję! Cna Melpomena posłuch wam daje — przed olympijski przystąpcie próg! (schodzi o parę stopni niżej. Wszyscy, jakoby widokiem Muz zaskoczeni, odsłaniają głowy i stoją nieporuszeni).

Eimer: (półgłosem do Polipa) Czy to ten sam stary Merkury, jak pan myślisz?... Przenicował się chyba! (chwila milczenia).

Merkury: Żywo! Cóżeście tak osłupieli? Kto tu pierwszy mówić chce?... (wszyscy mają miny zakłopotane).

Eimer: (podsuwając się bliżej i przyglądając się Melpomenie) Z uszanowaniem, Eimer (kłania się niezgrabnie) Bo... bo niby... nie wiem dobrze, z kim teraz mam przyjemność. Tamten stary pan... to niby zupełnie co innego...

Merkury: (zmienionym głosem, poufnie) To nic; w amforze z mlekiem zostało kilka kropel ambrozyi, która nam znowu młodość powróciła (wracając do dawnej pozy i tonu). A więc śmiertelni, dajcie głos swym myślom i żądaniom... Muzy gotowe słuchać was!

Głodysz: (trącając łokciem Farsalskiego) Zaczynajże dyrektor, bo ja zacznę...

Farsalski: (półgłosem, zakłopotany) Kiedy nie pamiętam pierwszych słów mojej roli.

Oczko: (do Głodysza) Czego się tak trzęsiesz.

tryg krzyżackich, dyplomatycznych zabiegów, gwałtów wreszcie, nie licujących zupełnie z powołaniem pierwotnem i prawdziwem zakonu, który zamiast oddać się szczytnemu zadaniu nawracania pogan, wszelkiemi środkami dążył do stworzenia własnej świeckiej potęgi. — Objawem takich dążności były po zrzuceniu zwierzchnictwa Rzymu i cesarstwa nietylko łowiecko-wojenne wyprawy na pogańską jeszcze wówczas Litwę, ale przedewszystkiem krzywdy wyrządzane dawniejszym dobroczyńcom zakonu, książętom na Mazowszu, a następnie Polsce za Łokietka, gdy po wielu innych zdradą i podstępem dokonanych rabunkach Krzyżacy opanowali także ziemię pomorską. Aleć obraza jednego z przepisów dekalogu była zakonu chlebem codziennym! Ze złego ziarna, tak autor kończy swe obszerne i cenne wywody, złe też wynikły plony. Zakon nie mógł zadaniu ujarzmienia Litwy sprostać, przeciwnie przyczynił się do jej wzrostu i do wzniesienia się za Giedymina w potężne i obszerne państwo, podczas gdy niemoralne środki, jakiemi się posługiwał, wzmogły tylko wśród niego korupcyę, wniosły do niego rozterki i zamęt, a chciwość i fałszywa jego polityka podkopały silnie powagę tych „bojowników wiary" wobec świata chrześciańskiego. Natomiast w twardej szkole doświadczenia, oblana potokiem łez i krwi odrodziła się znowu korona Bolesława i pod grozą miecza krzyżackiego spoiły się luźno stojące części dawnego państwa polskiego w jedne całość, ażeby następnie w połączeniu z ochrzconą już i silnym węzłem spojoną Litwą dać odwet upokarzający butę krzyżacką na polach Grunwaldu.

Następna rozprawa prof. A. Lewickiego p. t. Król Zygmunt Luksemburski a Polska 1420—1436 jest obszernem sprawozdaniem, rozbiorem krytycznym i uzupełnieniem rozprawy profesora praskiego Jarosława Golla, zatytułowanej „K. Sigmund und Polen 14 0 bis 1436". Roztrząsa w niej autor, zasłużony wydawca „Codex epistolaris s. *XV*" i wytrawny znawca owej epoki, jeszcze raz kwestyę stosunków czesko-polskich za wojen husyckich, która, jakkolwiek najpoważniejsi nasi i obcy uczeni się nią zajmowali, bynajmniej dotąd jeszcze nie doczekała się zupełnego wyjaśnienia. Do ciekawych też i odmiennych nieraz od czeskiego historyka poglądów i rezultatów dochodzi w niej autor, mianowicie co do ówczesnej, dwulicowej polityki polskiej, której celem, jak słusznie zauważa, było odzyskanie za cenę ofiarowanej przeciw wziętym poprzednio w opiekę Witołda Czechom utraconej niegdyś polskiej dzielnicy szląskiej. Różnią się też autorów poglądy mianowicie na wypadki bezpośrednio po kesmarkskim pokoju r. 1423 następujące, ponieważ prof. Goll nie uznaje autentyczności ogłoszonych przez prof. Lewickiego szeregu listów z roku 1428, odnoszących się do stosunków husycko polskich, a których autentyczności autor powtórnie stanowczo broni, wykazując, że treść ich odpowiada sytuacyi ówczesnej politycznej i że wpadają dokładnie w ramy obrazu wypadków, jaki z innych współczesnych źródeł wytworzyć sobie musimy.

Rozpoczynająca drugi zeszyt rozprawa prof. L. Finkla pt. „Konfessya podana przez posłów na sejmie piotrkowskim w r. 1555" jest ważnym przyczynkiem do dziejów innowierstwa polskiego. Konfessya owa przedłożona królowi na sejmie piotrkowskim przez różnowierców, którzy zwarte po raz pierwszy utworzyli stronnictwo polityczne z programem dokładnie tu określonym, znaną dotąd była tylko z dwóch współczesnych, w tłomaczeniu i skróceniu niemieckiem wytłoczonych druków. Autor podaje ją z Tek Gołębiowskiego, znajdujących się w bibliotece hr. Dzieduszyckich we Lwowie, w oryginale polskim, w którym po krótkim wstępie idą naprzemian po sobie ustępy zatytułowane „C o n f e s s i o" i „O d m o w a" t. j. refutacya artykułów podanych przez innowierców. Odmowę tę na „konfessyę" napisał Marcin Kromer, który był obecnym na sejmie piotrkowskim jako sekretarz królewski; za autora „wyznania wiary" uważano dotąd mylnie ks. Feliksa Krucygera, superintendenta kościołów innowierczych. Otóż autor po obszernym wywodzie, wyświecającym genezę i treść „konfessyi", daje wyraźne na to dowody, że źródłem jej było „wyznanie" głośnego swego czasu herezyarchy i przyjaciela Stankara, Stanisława Lutomirskiego, przedłożone królowi i biskupom w r. 1554, że tenże je w roku następnym powtórnie zredagował i że w tej szacie podanem zostało na sejmie piotrkowskim.

Następna rozprawa dra Aloizego Winiarza: Ziemia sanocka w latach 1463—1552" jest obszernem sprawozdaniem i streszczeniem Tomu XVI ,Aktów grodzkich i ziemskich z czasów Rzeczypospolitej polskiej", których wydawnictwo po nieodżałowanej pamięci Liskiem objął dr. Antoni Prochaska. Tom XVI, wydany już przezeń, obejmuje zapiski sądów sanockich z lat 1463—1552 i podobnie jak poprzednie, przedstawia pierwszorzędną wartość do poznania stosunków ziemi sanockiej, a pośrednio i całej Polski w tym okresie. Autor stara się za ich pomocą dać obraz stosunków społecznych i ekonomicznych tej części Rzeczypospolitej, a rozpoczynając od ludności, streszcza to, co nam akta podają o żywiole szlacheckim, stanie duchownym i mieszczaństwie, które tu nie odgrywało prawie żadnej roli, a mianowicie o ludności kmiecej i odrębnym jej rodzaju t. zw. bartnikach. W końcu dosyć szczegółowo omawia sprawy sądowe tej ludności, różnej między sobą stanem i położeniem majątkowem, które zatrudniały ówczesne sądownictwo ziemskie, grodzkie i sąd wyższy prawa niemieckiego, a do poznania których organizacyi i kompetencyi akta zawierają oczywiście również bogaty materyał.

W dziale „Miscellanea" dr. Al. Hirschberg, kustosz Zakładu Ossolińskich, umieścił spis bibliograficzny źródeł rękopiśmiennych, odnoszących się do historyi polskiej, a znajdujących się w Archiwum państwowem w Sztokholmie (Riks-Arkivet, jako też w bibliotece uniwersyteckiej w Upsali i bibliotece hr. Brahe, która do niedawna była w Stoh Roster, a obecnie przeniesiona do Archiwum państwowego w stolicy, oddaną została do użytku publicznego. Dokładny ten spis relacyi posłów szwedzkich i aktów dy-

---

Głodysz: To święty dreszcz na widok bogiń!

(Farsalski i Filisterski wysuwają się naprzód i zaczynają jednocześnie).

Farsalski: Czcigodna pani... jestem dyrektorem teatru...

Filisterski: Jako przedstawiciel publiczności i protektor sztuki...

Farsalski: Mam zaszczyt w interesie sceny, której...

Filisterski: Uważam sobie za obowiązek niektóre dezyderata...

Eimer: Czekajcie panowie... interes przedewszystkiem! (zwrócony do Melpomeny, z ukłonem) Eimer, z uszanowaniem, restaurator z pod „Ciemnej gwiazdy".

Oczko: (śmiejąc się do Zoilkiewicza) Chi, chi, chi!... dyrektor się sypie!...

Głodysz: Muzo, ja powiem... jestem artystą, mam talent i zapał do sztuki, ról mi nie dają, gaży nie płacą regulnie, nic nie grywam, prasa mnie nie popiera, marnuję się. Łaski!...

Eimer: To wszystko faramuszki!... ja pani... ja pannie... przyszedłem zaproponować spółkę... Możemy ten interes ubić jednem słowem. Mam teatrzyk w ogródku...

Farsalski: (odsuwając go) Ośmielam się polecić szczególniejszym względom i moją trupę oddać pod łaskawą opiekę...

Merkury: (wyciągając swą laskę nad nim) Zamilczcie! Tutaj w harmonii wiecznej sfer, bezładnej waszej mowy słowa brzmią jak brzęczenie much. (zwrócony do Melpomeny) Czy chcecie siostry słuchać ich i gwar ten znosić dłużej?... Może rozpędzić mam ten rój?...

Melpomena: (w stroju klasycznym, z maską w lewej, a z mieczem krótkim w prawej ręce; na głowie ma wieniec z winnych liści).

Pozwól im zostać bracie mój,
Kto się na Olymp trudził,
Niech chociaż muzom spojrzy w twarz,
Choć pieśni ich nie zbudził.

Eimer: (do Polipa) Panie, ona wierszami gada?... co?... to wiersze?

Polip: (który pilnie notował na kolanie) Daj mi pan pokój!... wiersze.

Eimer: A co!... ja się znam na tem.

Melpomena:

Przenikam myśli waszych głąb
I dzięki mej potędze
Zapuszczam w serca wasze wzrok
I czytam w nich, jak w księdze!...
Daremny zachód wasz i trud
Aż na Olympu szczyty,
Dla marnych celów żadna z muz
Nie wyjdzie za błękity!...
Kramarstwo sztuki — nie nasz dział,
A z naszych łask korzysta
Ten tylko, co ukocha nas:
Poeta i artysta!...
Gdy jego nas zawezwie głos
Miłości i zapału
Pójdziemy za nim, kędy chce,
Z pochodnią ideału,
I lejąc boskiej sztuki czar
Na ziemską pospolitość
Łaknącym duszom z piękna sfer
Zniesiemy boską sytość!...
Gdzie ten wybraniec nasz i druh,
Co przyjść tu winien w posły,
Abyśmy za nim sztuki czar
Na ziemski padół niosły?...

(Za sceną w oddali daje się słyszeć muzyka łagodna, zbliżająca się coraz bardziej crescendo).

Za nim pójdziemy chętnie wraz,
Ja z siostrą Thalią społem,
Gdy w oczach mu zaświeci żar
I błyśnie laur nad czołem!...
Lecz kędy kupczyć nami chcą
Za lada korzyść nizką,
Tam ni dla sztuki, ni dla muz
Nie znajdzie się siedlisko!...

SCENA VIII.

Ciż i Poeta (wchodzi w wieńcu na głowie przybrany w strój klasyczny, z złotą lutnią w prawej i zapaloną pochodnią w lewej ręce).

Poeta:

Co widzę!... toż Olympu szczyt
Goreje w blaskach zorzy!...
Muzy, witajcie!... pokłon wam!...

Euterpe: (wychylając się z poza kolumny)

Cóż to za młodzian hoży?
Patrz, siostro, jaki nosi strój...

Poeta: (w zachwyceniu spoglądając na Olymp) Więc to tu Olympu gruzy?!...

Melpomena: Ktoś jest, młodzieńcze, czego chcesz?

Poeta: (oddając im pokłon) Jam jest poetą, muzy!...

plomatycznych oraz rękopisów w znacznej części wywiezionych przez Szwedów, w czasie wojen z Rzecząpospolitą, uzupełnia urywkowe wiadomości, podane już przez hr. Przeździeckiego i hr. Eust. Tyszkiewicza. Jednego jednakże przytem doznaliśmy rozczarowania, a mianowicie tego, że biblioteka starożytnej wszechnicy w Upsali, w której składano najcenniejsze łupów wojennych skarby w rękopisach, tak nieliczne i stosunkowo niezbyt starożytne zawiera źródła rękopiśmienne (tylko 14 voluminów).

Szymon Askenazy podaje następnie z Tek Naruszewicza dochowane w przekładzie francuskim dwa listy sułtanki Chasseki Churrem (Roxolany) i dwa prawie identyczne jej córki sułtanki Chanum do króla Zygmunta Augusta. Listy te zdają się potwierdzać pochodzenie ruskie dziwnej tej postaci, która z niewolnicy kupionej do sułtańskiego haremu wyniesioną została do wszechmocnej małżonki Wielkiego Suleimana, prawodawcy, zwycięzcy z pod Mohacza, zdobywcy Rhodosu i niemal zdobywcy Wiednia.

Artykuł dra Prochaski „Do krytyki opowiadania Długosza o Elżbiecie Granowskiej" nowy dorzuca dowód na to, że pomawianie przez historyków dawniejszych Długosza o tendencyjność, posuniętą aż do przekręcenia faktów, a nawet do zmyślania ich, było tylko bezpodstawnem przypuszczeniem. Dowodzi tego mianowicie przeciw zarzutom przez prof. Caro uczynionym z powodu opowieści Długosza o trzech mężach Elżbiety Granowskiej, a wypowiedzianym w surowych wyrazach: „diese scheinen als Ehegatten Elisabeths nur im Lügengeiste Zbigniew Oleśnicki's existiert zu haben". Po dawniej stwierdzonym w osobnej rozprawie na podstawie wielu współczesnych źródeł, i to zarówno polskich jak pruskich, fakcie, że król był już czwartym z rzędu mężem Elżbiety i że wszystkie prawie poruszone przez Długosza z życia nieszczęśliwej królowej szczegóły nie mijają się z prawdą, wyjaśnia źródłowo z trzech przedrukowanych, nieznanych dotąd aktów z kodeksu biblioteki uniwersyteckiej pragskiej, oraz kodeksu bibl. kórnickiej jeden jeszcze przywiedziony przez Długosza szczegół: nazwiska pierwszych dwóch mężów królowej.

Wreszcie ksiądz dr. Fijałek w artykule pod tytułem „Zamierzona osada zakonna zakonu kapucyńskiego w pałacu spiskim na rynku w Krakowie 1683/5 roku" z ogłoszonych w dodatku dokumentów podaje nieznaną dotąd wiadomość o zabiegach O. Jakóba z Rawenny, komisarza jeneralnego OO. Kapucynów w Polsce, gdzie zakon ten osiedlił się dopiero za króla Jana III, celem osadzenia ich w sławnej kamienicy „pałacem spiskim" zwanej, jeszcze przed powstaniem dzisiejszego kościoła i konwentu.

Dział najobszerniejszy „Kwartalnika" tworzą recenzye dzieł odnoszących się do historyi polskiej oraz z nauk jej pomocniczych. W zeszytach tych zwracają na siebie uwagę szczególną rozbiory dzieł: A. Pawińskiego „Sejmiki ziemskie", przez dr. Winiarza. — tegoż „Polska w XVI wieku, Mazowsze", przez A. Jabłonowskiego, — L. Finkla i Starzyńskiego „Historya uniwersytetu lwowskiego", przez dra A. Karbowiaka. Z. Kaczkowskiego „Kobieta w Polsce" przez A. Machczyńską, oraz dalszych tomów ks. Smolikowskiego „Historya Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego" i Z. L. S. „Historya dwóch lat" przez H. Lisickiego. Przegląd literatury historyi powszechnej starożytnej i średniowiecznej dany przy współpracownictwie młodszych sił przez prof. L. Finkla, Przegląd rozpraw i artykułów odnoszących się do historyi polskiej, zamieszczonych w czasopismach polskich i obcych, wreszcie sprawozdania z posiedzeń Towarzystwa pożądane nader dają zaokrąglenie tego jedynego dotąd w polskiej literaturze czasopisma historycznego.

Józef Wysocki.



Dziennikarstwo w Anglii.

II.

Tysiącznym tym i najrozmaitszym wymaganiom odpowiadają jednak w zdumiewający sposób olbrzymie dzienniki angielskie, i to głównie z tej przyczyny, że chodzi tu po prostu o ich kwestę bytu. Gdyby bowiem ten lub ów z wielkich dzienników naraził się na niechęć swych czytelników niedokładnemi sprawozdaniami lub informacyami, w krótkim czasie przy zaciętej konkurencyi dziennikarskiej utraciłby swą powagę, a tem samem i swych abonentów. Z drugiej jednak strony liczyć może z wszelką pewnością na stały i znaczny wzrost swej poczytności, jeźli pod względem szybkich, dokładnych i rozległych informacyi odpowiada wymaganiom publiczności. Doświadczenie wykazało, że w Anglii zalety dziennika na polu wysoko rozwiniętej działalności informacyjnej nagradzane bywają zawsze odpowiednim wzrostem zysków, ponieważ z samej natury rzeczy podnoszenie się liczby abonentów i zwiększenie się poczytności dziennika pociąga za sobą zwiększony napływ ogłoszeń. A znów główny ten dochód z ogłoszeń umożliwia dziennikowi ponoszenie ogromnych wydatków na możliwie dokładną informacyę.

Arcydziełem angielskiego dziennikarstwa są bez kwestyi „Times'y". Biorącego do ręki numer tego wszechświatowego organu, który już o godz. 4-ej rano opuszcza prasę drukarską, ogarnia zdumienie nad nagromadzoną tam masą ludzkiej i maszynowej pracy. Na 12 – 16, czasem i więcej stronnicach znanego olbrzymiego formatu, spotykamy na wybornym papierze „alfa," ustawione równym wyraźnym a tem samem i dla oka przyjemnym drukiem niezliczone mnóstwo ogłoszeń wszelkiego rodzaju, a jeźli zważymy przy tem starannie i z werwą pisane artykuły wstępne, szczegółowe podane rozprawy parlamentarne, mowy wyborcze, sprawozdania z kongresów i zebrań wszelkiego rodzaju, opisy nieszczęśliwych wypadków itp. — to mi-

---

Muzy: (poruszone z radością) Poeta!..

Melpomena: Cóż za rzadki gość!... Ach, zbliż się, druhu miły!...

Poeta: (zatykając pochodnię u stopni portyku).

Aż z ziemi szedłem na wasz szczyt,
I już mi zabrakło siły;
Lecz teraz świeżą czuję moc,
Wasz widok mnie ocucił —
Niebianki, oto laurów garść,
Którą mi kraj ten rzucił!

(Zdejmuje wieniec z głowy i składa go u nóg Melpomeny).

Ofiarę z niego niosę wam,
Lecz w zamian błagam łaski.
Natchnienia coraz słabszy zdrój
I sztuki gasną blaski...
Pomocy waszej wzywać śmiem,
U waszych staję progów —
Zejdzie w gościnę do was znów
Z niebiańskich swych rozłogów!...
Rozniećcie jaśniej sztuki Znicz,
Zapalcie twórcze duchy,
Harmonii boskiej nowy strój
Niech zabrzmi w pustce głuchej!...
O muzy piękne, wzywam was,
Zaklinam z serca drżeniem —
Zejdźcie!... tam w dole waszych łask
Czekają z utęsknieniem.
Na lutni tej nawiążcie znów
Porwane struny dźwięczne,
A jako harfy dadzą wtór
Słuchaczów serca wdzięczne!...

Melpomena:

Młodzieńcze, miłe brzmi twój głos
Tu, na Olympu szczycie,
Wnijdź w nasze progi, gościu nasz,
Nagrodzim cię sowicie!
Odpocznij, siły nowe zbierz
I zabaw w naszem gronie —
Poeto, w świeży dzisiaj laur
Zwieńczymy twoje skronie,
A potem, kędy zechcesz sam,
Powiedziesz nas swą drogą,
Bo z tobą tylko godnie iść
Dłoń w dłoni muzy mogą!

(Schodzi ku niemu, podaje mu rękę i prowadzi po stopniach w górę pomiędzy Muzami, które się rozstąpiły po obu stronach, robiąc im przejście. Za nimi wchodzi ostatni Merkury, zatrzaskując za sobą kratę).

SCENA IX.

Ciż i (po chwili) Nimfa.

Eimer: (z głupowatą miną spogląda jakiś czas po wszystkich, którzy nie mogą wrócić do równowagi) Nic nie rozumiałem! Wiem tylko, że panie muzy zaprosiły sobie poetę na kolacyę. Ładny gość! Zje pół porcyi, ze trzy pajdy chleba, wypije kufelek piwa, napsuje z dziesięć wykałaczek i pójdzie sobie. Znam ja takich! No, ale co będzie z nami?...

Farsalski: (z komiczną miną) Nagadała nam morałów i pokazała plecy! Dobra sobie ta Melpomena! Jabym jej odstąpił dyrekcyę, niechby spróbowała!...

Filisterski: (ziewając) Nie, to nie było wcale zabawne! Żeby jeszcze w operetce, to możeby i uszło.

Głodysz: A ja wam powiadam, że ma dykcyę nieszczególną, chociaż jest muzą tragedyi!...

Oczko: Zawracanie głowy!... jabym to lepiej powiedziała, chociaż grywam tylko naiwne.

Farsalski: Szkoda się było we frak ubierać!... Ha, no!... niema co, nie udała nam się wyprawa! Trzeba wracać bez pani Melpomeny. (do Polipa) Cóżci redaktor tam nagryzmolił całą librę papieru?

Polip: (klaskając języczkiem) Będę miał sensacyjną wiadomość z Olympu. Zrobię z tego oryginalną korespondencyę. Panie Eimer, dajno pan tę butelkę! Może tam zostało co jeszcze pańskiej brei?

Zoilkiewicz: A ja wam powiadam, moi drodzy, że jeśli poeta ma naprawdę talent i przyjdzie mnie się jeszcze poradzić, to on jeden kwestyę rozwiąże!... Ale wy tego nie rozumiecie, więc chodźcie, sprowadzę was krótszą drogą z tej góry.

Głodysz: No, przynajmniej raz krytyka pokaże nam, którą drogą iść trzeba.

Filisterski (wyjmuje papierosa i zapala go u pochodni, zatkniętej przez poetę na stopniach Olympu).

Zoilkiewicz: (zgorszony) Panie, pan popełnia profanacyę!... zapalasz pan papierosa od pochodni poetyckiego zapału.

Filisterski: (puszczając kłąb dymu z lekceważeniem) Pchi!... my, publiczność, przecież za ten zapał płacimy.

Oczko: (podając rękę Filisterskiemu) A co?... kochasz pan Pimpcię? Prawda, iż ja jestem zabawniejsza niż wszystkie Melpomeny? (Szykując się do odejścia z Zoilkiewiczem na przedzie. Eimer, który pozo-

mo przeprowadzonego w tych dziennikach do ostatecznych granic podziału pracy, pomimo wszelkich zastosowanych w dziennikarstwie środków technicznych i maszynowych, zdumiewać nas musi uwaga, że na dobę przed tem nic z tego wszystkiego nie było napisanem, złożonem, a po części nie wydarzyło się nawet jeszcze. Numer taki „Times'ów" słusznie nazwać by można historyą wypadków całego świata w ubiegłej dobie. Ale nie dość na tem. Chociaż bowiem w Anglii nie istnieje urzędowa publikacya ciągnąca się często późno w noc obrad parlamentarnych, to jednak czytelnik „Times'ów", z wszelką pewnością liczyć może na to, że już następnego rana otrzyma dosłowny tekst nietylko mów wygłoszonych poprzedniego wieczora w Londynie w izbie gmin i izbie lordów, ale i rozpraw toczących się o tym samym czasie np. w Edinburgu lub Glasgowie.

Jest to, rzecz jasna, możliwa jedynie przy najintensywniejszem wyzyskaniu wszelkich tak wydoskonalonych w dzisiejszych czasach środków technicznych, w pierwszej linii drutu elektrycznego, służącego do przenoszenia telegraficznych jak i telefonicznych wiadomości; tem się też tłomaczy, że informacyi starszych niż dobę przeciętny czytelnik angielski nie uważa za „najnowsze wiadomości". Do tego jednak, aby módz rejestrować wszelkie ważniejsze wypadki, wydarzające się w najrozmaitszych miastach i krajach świata, że się tak wyrazimy, natychmiast przy ich powstawaniu, wymagają te dzienniki owej po całej kuli ziemskiej rozrzuconej armii korespondentów i reporterów, których trudne bardzo zadanie polega na bezustannem informowaniu swego dziennika o wszelkiem, co zasługuje na uwagę. Koszta połączone z tą reporteryą nie odgrywają przy tego rodzaju przedsiębiorstwach dziennikarskich żadnej roli. Jedynym celem, do którego dąży wielki dziennik angielski jest podawanie swym czytelnikom oryginalnych, najszybszych i najdokładniejszych wiadomości. Dzienniki te posiadają więc albo własne swe połączenia telegraficzne z głównemi krajami Europy, albo co najmniej umowy, zapewniające im pierwszeństwo przed innymi klientami tych środków komunikacyi. Tak podczas wielkiego przesilenia pieniężnego w Argentynie wysłały „Times'y" do Buenos Ayres jednego z najwytrawniejszych swych korespondentów, który przez kilka dni krytyczne telegrafował na drogim telegrafie podmorskim swemu dziennikowi prawie co godzina o położeniu tamtejszego rynku pieniężnego. Pochłonęło to wprawdzie w przeciągu dwóch dni pokaźną sumę 30,000 mk., ale w ten sposób dowiedzieli się zaangażowani miliardami w argentyńskich walorach kapitaliści Europy trzy tygodnie wcześniej o smutnych tamtejszych, politycznych i finansowych stosunkach, co zabezpieczyło ich przynajmniej przed najdotkliwszemi stratami.

Nie tylko jednak stolica rozporządza pewną liczbą tak wyborowych dzienników, i inne wielkie miasta handlowe Anglii posiadają podobne przedsiębiorstwa, mogące się śmiało mierzyć z londyńskimi swymi współzawodnikami, chociaż służą one wyłącznie prawie interesom handlu i giełdy. Pomiędzy temi wydawnictwami zajmuje obok „Liverpool Courier", „Birmingham Daily Mail" i „Leeds Mercur" pierwsze miejsce Manchester Guardian" i pracuje przy pomocy prawie tak wielkiego aparatu jak „Timesy", mianowicie na polu kwestyi socyalnych, na którem uchodzi za najdokładniej informowany i pod względem fachowym najlepiej redagowany organ całego świata.

Jeżli dążenie do utrzymania swych pism na stopniu możliwej doskonałości dyktują wielkim angielskim przedsiębiorcom dziennikarskim względy czystego interesu, ponieważ dzienniki te stanowią w pierwszej linii przedsiębiorstwo kupieckie, liczące na zysk jaknajwiększy, to jednak wydawcom tych organów wszechświatowych nie wolno ani chwili zapominać poczucia ogromnej odpowiedzialności, spadającej na nich jako bezpośrednie następstwo wielkiej poczytności i powagi, jaką się cieszy ich dziennik nie tylko w Anglii, ale i daleko po za jej granicami. Im większy i poczytniejszy jest taki organ, tem większe i cięższe brzemię odpowiedzialności spada na barki jego redaktorów, a należy im się uznanie, że brzemię to noszą z godnością i powagą. Wszyscy bowiem posiadają w najwyższym stopniu nieledwie instynktowe zrozumienie ogólnego dobra swej ojczyzny, wysoko rozwinięte, co prawda, obrażające często inne narodowości, poczucie godności angielskiego imienia, a dalej także, czego wcale, o ile się zdaje, nie zna wiele pism francuzkich, niemieckich, włoskich, a po części i naszych, uznania godny wstręt przed naruszaniem dobrej sławy, życia domowego i osobistych interesów osób prywatnych, dopóki tego rodzaju sprawy nie znalazły wyjaśnienia na drodze prawnej.

Na uwagę zasługuje dalej fakt, że ważniejsze artykuły, a zwłaszcza artykuły wstępne „leaders", we wszystkich prawie większych dziennikach angielskich pojawiają się bez podpisu autora. Za treść ich odpowiedzialny jest wyłącznie redaktor naczelny lub wydawca, co kładzie skuteczną tamę wszelkiej osobistej polemice. Zresztą nawet polemiki pojedyńczych dzienników pomiędzy sobą zachodzą w prasie angielskiej względnie dość rzadko, ponieważ jak słusznie zaznacza Daryl w dziele „La vie publique en Angleterre": „Walki te dziennikarskie nie są już na czasie. Od dawniej już niż pół wieku doszli Anglicy do świadomości, że nie ludzie lecz idee zasługują przedewszystkiem na uwagę, i wyleczyli się w zupełności od panującego u innych narodów kultu osobistości". Prasa w Anglii wyrosła z czasem na potężną instytucyę publiczną, w której ramach nie ma miejsca dla małostkowych osobistych kłótni, tem bardziej, że czytająca publiczność odpycha ze wzgardą tego rodzaju niezdrowe objawy dziennikarstwa.

Wogóle czytelnik angielski nie żąda wcale, aby mu dzienniki przedstawiały gotowe i jednostronne swe zapatrywania, lecz domaga się przedewszystkiem możliwie bezstronnego i wszechstronnego oświetlenia danej sprawy, celem wytworzenia sobie własnego sądu i zupełnie słusznie twierdzi Montalembert, że „publiczność w Anglii uważa się za nieustający trybunał, a dzienniki sza-

---

stał trochę z boku, spostrzega wchodzącą Nimfę i zaczaiwszy się, kiwa na nią palcem).

Eimer: Psst!... panno!... panienko!...

Nimfa: Kiedy się wstydzę!... jeszcze znów kto zobaczy!

Eimer: Chodź-no panna na słówko!... (przygląda się jej i szczypie ją w policzek) Wiesz panna, co pannie powiem?

Nimfa: No, co?...

Eimer: Z panny-by była dopiero Melpomena, jak Boga kocham! Podejmij-no panna sobie trochę wyżej tę kieckę. (chce jej podnieść tunikę po za kolano) O tak!... To nic nie szkodzi, że będzie trochę podkasana. Panna umie śpiewać?

Nimfa (filuternie głową kiwa).

Eimer: A tańczyć panna umie?... tak coś pikantnego?...

Nimfa (robi ruch kankanowy).

Eimer: Pyszności!... wie panna nimfa, co ja pannie nimfie powiem? Chodź panna Nimfa ze mną pod „Ciemną gwiazdę". To restauracya pierwszego rzędu! Angażuję pannę na muzę!... no?... zrobimy interes. Mnieby się taka podkasana muza przydała. Wikt, mieszkanie, opierunek i dwanaście blatów miesięcznie. Zgoda?...

Nimfa: (po chwili namysłu, jakby się nie mogła zdecydować) Ale co do piwa, to nie będę roznosiła?...

Eimer: Niee!... uchowaj Boże!

Nimfa: (podając mu rękę) No to jazda! Tu i tak z nudów można się skręcić!

Eimer: (chwyta ją wpół i wybiegając woła) Mnie się jednak wyprawa na Olymp opłaciła!

Polip: (trzymając się za boki ze śmiechu) Górą nasi!... a co?... Ten ma rozum!...

SCENA X i ostatnia.

Merkury (po chwili) Melpomena, Poeta i Muzy.

(Pod koniec ostatniej sceny ukazuje się pod portykiem Olympu Merkury i oparty na swej lasce przysłuchuje się z miną ironiczną rozmowie Eimera z Nimfą, a po ich odejściu lekkim krokiem zeskakuje po stopniach na scenę i woła za nimi).

Merkury:

Szczęśliwej drogi!... a spieszcie się
Ku ziemi ze swą zdobyczą!...
Ot, taka muza przyda się tam,
Gdzie sztukę do sztuczek liczą,
Ale świętego ognia skry
Profanów dłoń nie skrzesze,
My nie przedamy siebie, nie! —
Gawiedzi ku uciesze!...
Tym, co na handel sztuki chcą,
Pozorem jej frymarczą,
Niech łaski takich tylko muz
Za nasze względy starczą!

(Z pod portyku schodzi poeta, prowadząc Melpomenę i Thalię, za nimi grupują się Muzy uwieńczone kwiatami i stają po obu stronach na stopniach Olympu).

Poeta:

O, dzięki, dzięki, dzięki wam
Za świeżych natchnień dary!...

(ujmując w rękę pozostawioną pochodnię)

Sztuka z poezyą rzuca blask
W mrok życia mglisty, szary,
Boską ma władzę ich zaklęć moc,
I duszę rozpłomienia,
I uszlachetni śmiech czy łza,
Gdy płynie z ich natchnienia!...
Więc pójdźcie ze mną ludziom nieść
Z tych podniebiańskich szczytów
Na sztuki cześć, poezyi cześć
Skarb wrażeń i zachwytów!...
Powiodę was w czcicieli tłum,
Co z duszy rad wam będzie,
I w grono waszych wiernych sług —
Pójdziecież ze mną?...

Muzy: (z zapałem) Wszędzie!...

Melpomena:

Niech twa pochodnia, jak płonący ptak,
Przed nami przodem poleci
I niech rozwidnia mroczny, ziemski szlak
Wszędy, gdzie blask jej zaświeci.
Prawda i piękno błysną w świecie jej
I olśnią ziemi syny,
Sztuka z nich weźmie nowy czar,
A tobie da wawrzyny!...

(Melpomena z poetą na czele i Muzy grupują się do pochodu. Orkiestra intonuje Poloneza Chopin'a. Kurtyna powoli spada).

KONIEC.



…ując samowładzę opinii publicznej zgodzić się muszę na rolę sędziów, którym anglosaksońskie poczucie prawne zabrania bezwarunkowo znęcać się nad oskarżonym lub zastawić nań podstępne sidła". A ton przyzwoity bywa zachowywany zarówno przy podawaniu parlamentarnych i innych obrad i rozpraw, jak w sprawozdaniach z sensacyjnych procesów.

Jedynie artykuły wstępne o tyle wykazują coś indywidualnego, osobistego, że służą one do wyjaśnienia stanowiska stronnictwa, którego bronią interesów.

Rozumie się samo przez się, że nie brak w prasie angielskich licznych i to dość poważnych cieniów. Przedewszystkiem razi w dziennikarstwie W. Brytanii przekraczająca wszelką miarę stronniczość w sprawach, w których interesa angielskie wchodzą w kolizyę z interesami innych narodów. Wrodzone nieledwie Anglikowi i głęboko zakorzenione przekonanie o swej wyższości nad wszystkiemi innemi narodami całego świata, nie pozwala mu wżyć się w myśli i uczucia obcego narodu i zdobyć się wobec niego na postawę, zgadzającą się z wymaganiami słuszności i sprawiedliwości. Oświadczył przecież wybitny Anglik, Sydney Whitman w swem dziele „le pays du Cant": „Wymagań ludzkości nie należy uwzględniać, skoro się one sprzeciwiają interesom angielskim; z drugiej jednak strony wysuwamy je chętnie naprzód, jeźli przez to inne narody narazić możemy na trudności i zatargi."

X.



Współczesny dramat rosyjski.

Hipolit Spasinski.

Narodowa scena rosyjska zawdzięcza swój początek Ostrowskiemu. Genialny ten dramaturg wytworzył szkołę, która współczesnemu teatrowi rosyjskiemu zapewniła szereg utalentowanych autorów, odzwierciadlających w swych utworach zgodnie z prawdą, a przytem w artystycznie wykończonej formie zewnętrznej życie rosyjskie i ucieleśniających należycie wszelkie objawy i prądy, nurtujące społeczeństwo rosyjskie. Gdy bowiem komedye Vonvisina („Gagatek", „Brygadier") trzymają się niewolniczo francuzkich wzorów, gdy komedya Grybojedowa „Gore ot uma" zasługuje jedynie na nazwę dowcipnej satyry społecznej, gdy wreszcie „Rewizor" Gogola nie wytworzył szkoły i nie zostawił po sobie wyraźniejszych śladów — dramatyczne utwory Ostrowskiego wywołały w teatrze rosyjskim radykalny przewrót i przekształciły do gruntu smak rosyjskiej publiczności teatralnej. Dopiero w dramatach Ostrowskiego wystąpili przed publicznością rosyjską prawdziwi, pozbawieni wszelkich osłon, „rosyjscy ludzie" w których pulsem tętnem biło rodzime życie z wszystkiemi jego dolegliwościami i ranami, z wszelkiemi zaletami i wadami, jasnemi i ciemnemi stronami. Zrozumieć wobec tego łatwo, że następcy Ostrowskiego nie szczędzili starań, aby wiernie służyć ideałom twórcy rosyjskiej sceny narodowej.

Do najwybitniejszych z tych naśladowców należy niewątpliwie Hipolit Wasiliewicz Spasinski, który przed 20 laty poraz pierwszy przedstawił się rosyjskiej publiczności, i samym wstępie zdobył sobie jej uznanie. Zaczerpnięty bezpośrednio z życia utwór pierwszy Spasinskiego wywarł dzięki bohaterowi, iskrzącemu się od dowcipu i humoru dyalogowi, dzięki nadzwyczaj interesującej akcyi silne wrażenie, chociaż ówczesna publiczność teatralna pozostawała jeszcze pod potężnym urokiem dramatów Ostrowskiego.

Talent dramatyczny Spasinskiego zaznacza się najsilniej w odtwarzaniu postaci kobiecych rozmaitych warstw rosyjskiego społeczeństwa. Poznał on na wskroś duszę rosyjskiej kobiety, umie spoglądać w głąb tej duszy i chwytać najtajniejsze jej drgania. Przy tem utwory tego autora wolne są od wszelkiego gonienia za sztucznemi efektami teatralnemi; objawy codziennego życia rosyjskiego przedstawiane bywają w tych utworach z taką prostotą i takim realizmem, że życie to roztacza się przed oczami widza w zatrważającej nieledwie swej nagości. Działające postacie w utworach Spasinskiego są pełne życia, pochwycone na gorącym uczynku wytwory społeczeństwa rosyjskiego i środowiska, w którem się poruszają. Żadna jednak ze sztuk tego dramaturga nie zdobyła sobie tyle uznania, co wystawiony w r. 1878 po raz pierwszy dramat ludowy p. t. „Majorowa". Sztuka ta, która dotychczas doczekała się z górą 1300 przedstawień, ugruntowała sławę Spasinskiego na zawsze.

Utworowi temu należy się cokolwiek obszerniejsza ocena. Stanowisko kobiety w rodzinie rosyjskiej, a zwłaszcza w niższych warstwach ludności, było i jest do dnia dzisiejszego nadzwyczaj smutne. Tradycyjne zapatrywania na kobietę, wytworzone przez lud w duchowej jego ciemności, degradują kobietę do roli prostego przedmiotu, któremu nie wolno posiadać uczuć ani pragnień, namiętności ani słabostek. Brutalny despotyzm (samodurstwo) głowy rodziny, przedstawiony przez Ostrowskiego w licznych niezrównanych typach, stanowi wiecznie jątrzącą się ranę rosyjskiego życia rodzinnego w niższych warstwach ludności. Pod tym też względem wykazuje „Majorowa" wiele podobieństwa z Katarzyną Kabanową, bohaterką najlepszego dramatu Ostrowskiego. I Katarzyna Kabanowa w „Burzy" rzuca się w nurty Wołgi, wyspowiadawszy się z grzesznej swej miłości przed despotycznym swym małżonkiem. Udręczona ta dusza kobieca, pożerająca się w płomieniach swej namiętności, a zmuszona żyć w otoczeniu ludzi, nie różniących się niczem od bezmyślnych zwierząt, stanowi już sama w sobie dramat wstrząsający do głębi porywającą swą prawdę. I „Majorowa" Spasinskiego jest wytworem tego środowiska i ona jest taką udręczoną duszą kobiecą, którą zabija występna miłość.

Z całego szeregu utworów, któremi Spasinski podczas dwudziestoletniej swej działalności autorskiej wzbogacił rosyjską literaturę dramatyczną, zasługują przedewszystkiem na uwagę sztuki z ostatniego dziesięciolecia. Dojrzały talent wydawał też dojrzałe owoce. W dziełach z tego okresu występuje Spasinski jako bystry psycholog i pełen talentu badacz współczesnego rosyjskiego społeczeństwa. Różnobarwny szereg typów i charakterów przesuwa się przed naszemi oczyma, pełnych życia i uwydatniających ze zdumiewającą prawdą najnowsze prądy i objawy społeczne. W pięcioaktowym dramacie „Zwykłe dzieje" (Prosatja istorija) przedstawia nam autor w Siłwaczewie, bohaterze sztuki, typ owych niezdecydowanych i pozbawionych wszelkiego gruntu moralnego frazesowiczów, w których tak bogate jest społeczeństwo rosyjskie, a których pierwowzoru szukać należy w Rudinie Turgenjewa. Pułkownik Siłwaczew, komendant pułku w mieście prowincyonalnem środkowej Rosyi, zdobywa sobie miłość młodej i pięknej żony kupca Wjery Roswałowej. Dziwić się trudno, że Wiera łamie wiarę swemu mężowi. Mąż ten, Nikanor Roswałow jest owym dawnym, brutalnym despotą domowym z połowy bieżącego wieku, w odświeżonem cokolwiek wydaniu. Spędza on noce w towarzystwie dam z półświata, odprawia orgie po orgiach, zaniedbując w zupełności młodą swą żonę. Niezaspokojone pragnienie miłości i obrażona godność kobieca znajdują swój wyraz w namiętności ku Siłwaczewowi. Z właściwą kobiecie rosyjskiej energią korzysta Wjera z najpierwszej nadarzającej się sposobności, aby opuścić męża i przenieść się do Siłwaczewa. Już zakłopotanie, jakie objawia Siłwaczew wobec tego kroku swej kochanki, ukazuje nam charakter tego bohatera we właściwem świetle. Gdy zaś powraca prawa żona Siłwaczewa, która go opuściła niegdyś i staje przed nim dopominając się ze zdumiewającą bezczelnością praw swoich, porzuca ten bohater swą kochankę, która mu poświęciła wszystko, nie pożegnawszy jej nawet. Wjera opłaca miłość swą i rozczarowanie śmiercią; umiera na suchoty. Około głównych postaci tego utworu, narysowanych po mistrzowsku grupuje się szereg epizodycznych figur, stanowiących nadzwyczaj cenny materyał do charakterystyki współczesnego rosyjskiego towarzystwa. I tak młody Arawin, którego jedynym ideałem jest „pieniądz, pieniądz i jeszcze raz pieniądz" płaszczący się i nie przebierający w środkach, aby dojść do swego swego celu, jest przedstawicielem jednego z chorobliwych objawów we współczesnem życiu rosyjskiem.

Głęboka znajomość rosyjskiego społeczeństwa, zdolność ucieleśnienia swych spostrzeżeń w pełnych życia postaciach, mistrzowskie odtwarzanie codziennego życia i namiętności ludzkich cechuje także wszystkie prawie inne utwory autora „Majorowej".

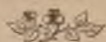
W pięcioaktowym dramacie „Ofiara" przedstawia nam Spasinski prosty i prawdziwy, a wstrząsający najbardziej nawet sceptycznego widza obraz rosyjskiego życia rodzinnego. Mitrofan Rakitin, podrzędny urzędnik, należy do idealistów, których naiwna wiara w miłość, przyjaźń i cnotę nie zna granic, otoczony jest jednak ludźmi, nie wykazującymi najmniejszych śladów człowieczeństwa. Brat jego Sachar, zamężny rejent, hołdujący zasadzie, że świat cały istnieje tylko dla jego przyjemności, traktuje go z największem lekceważeniem; matka Arina, na wpół idyotyczna i nieokrzesana kobieta, dręczy go na każdym kroku, chociaż ubogi urzędnik odmawia sobie wszystkiego, aby jej uprzyjemnić życie.. Jedynym jasnym promieniem w życiu Mitrofana jest jego żona Walentyna, którą wyrwał z największej nędzy i poniżenia. W swej naiwności nie spostrzega jednak Mitrofan burzy, która się zrywa w duszy jego żony. Walentyna nie różni się od Sachara i Ariny. I ona uważa uczciwość Mitrofana za głupotę, i ona nie znajduje szczęścia przy boku idealnego męża, i bez oporu oddaje swe serce ubiegającemu się o jej względy Cowelasowi. Mitrofan spostrzegłszy swą żonę w objęciach kochanka, opuszcza ten świat pozorów i obłudy i szuka śmierci w nurtach rzeki. Wszystkie charaktery tej sztuki narysowane są po mistrzowsku, akcya rozwija się prawidłowo, a prostota rozgrywających się przed naszemi oczyma wypadków potęguje jeszcze dramatyczność sztuki.

Ale i utwory dramatyczne, których treść zaczerpnął Spasinski z przeszłości Rosyi odznaczają się prawdą i życiem i dają nam dokładny obraz ówczesnych stosunków społecznych. Do tej kategoryi należą dramaty: „Wolność bezszranek" (Woliszaja woliuszka) i „Przed wielu laty" (W staryje gody). W „Wolności bez szranek" roztacza autor szmat życia z czasów Iwana Groźnego.

Za daleko by nas zaprowadziła szczegółowa ocena wszystkich utworów dramatycznych Spasinskiego. Wyżej podana charakterystyka najgłówniejszych jego dramatów

wystarcza do poznania tego autora, należącego do najwybitniejszych przedstawicieli współczesnego rosyjskiego teatru. Z dwudziestu sztuk napisanych przez Spasinskiego, nie mała liczba zasługuje na uwagę nie tylko rosyjskiej publiczności. Spasinski jest prawdziwym talentem dramatycznym, którego utwory malują może najdokładniej, najzgodniej z rzeczywistością współczesne rosyjskie życie społeczne.

K.



Pałac Kryształowy
w Monachium.

Wszechświatowa wystawa sztuki w r. 1896.

Monachium, 10 czerwca.

Pałac Kryształowy, Glaspalast, — komu nie jest znanym gmach ten, albo kto przynajmniej o nim nie słyszał?

Jest to osobliwość miasta artystycznego, które w jednej ręce trzyma kufel z słodkiem i silnem piwem bawarskiem, w drugiej zaś pędzel, umaczany w farbie, i westchnąwszy wpierw do Apolla potem do Gambrina... tworzy.

Trudno pojąć w istocie, jak to Monachium, słynące przecie ze swej reputacyi artystycznej, może zarazem tak obfitować w uderzającą, niezwykłą ilość czerwonych opojów, których się tu na każdym kroku spotyka... Dziwna to zagadka i niewytłomaczona.... Być stolicą sztuki, nauki i wzniosłych ideałów, a równocześnie stekiem największego na świecie pijaństwa, niezwykła to rzecz doprawdy.... Ale porzućmy na teraz wszystkie pesymistyczne refleksye i przejdźmy do tej osobliwości grodu tutejszego, której tytuł na samem czele niniejszej korespondencyi umieściłem.

Glaspalast — to olbrzymi pałac, cały ze szkła zbudowany (fundamenty i podparcia rzecz prosta z materyału trwalszego), nie powiem, żeby ładny i zbyt oryginalny, owszem brudny na oko i dziwaczny, „clou“ swoje zawdzięczający jedynie materyałowi, z jakiego go zbudowano. Przeznaczony wyłącznie do pełnienia funkcyi specyalnie artystycznej, raz do roku o tej porze otwiera swe podwoje żądnym wrażeń i zamyka je dopiero przy końcu października. Czasu więc niby niebrak na obejrzenie i przetrawienie tego wszystkiego, co twórczość, przedsiębiorczość i usiłowania ludzkie tu nagromadziły.

Śmiało rzec można, że „Glaspalast“ jest prawdziwą atrakcyą Monachium. Gdy zbliża się się termin jego otwarcia, wszyscy na ustach mają tylko gorączkowe pytanie: kiedy? czy już?.... Kobiety sposobią swe toalety, by módz je publicznie zaprezentować, świat elegancki i filistrzy dają sobie tam rendez-vous... Malarze zaś spieszą oglądać, uczyć się, studyować, podziwiać to, co inni stworzyli, lub ganić i wytykać błędy... Między publicznością szerszą, jak wszędzie zresztą, miłośników mało się znajduje...

Glaspalast nie obchodzi się tu także bez zwykłych, właściwym wszystkim podobnym instytucyom „awantur“. Uroczystość rozwarcia podwoi chwilowego przybytku sztuki, przez resztę roku stojącego pustkami, odbywa się w asystencyi całej ciżby możnych gapiów płci obojga, przeróżnych próżniaków i zbijaczy bąków, wreszcie osób postawionych wyżej itp. Jest to komedya niesmaczna i niezabawna wcale. Tak każe jednak tradycya....

Z zaciekawieniem przestępowałem progi tegorocznej „Münchener Jahresausstellung der Kunstwerke aller Nationen“. Zawszeć to powaga w świecie malarskim ta wystawa „glaspalastowska“ i figurowanie na niej nie jest byle czem. Wielu z tutejszych młodych adeptów sztuki wyczekuje z utęsknieniem chwili, w której obraz ich lub rzeźba uzyska wstęp do monachijskiego salonu“... „Jury“ jest surowe i nieubłagane. Sortuje zawzięcie i bez pardonu. Mnóstwo utworów wraca melancholijnie do pracowni, lub szuka ratunku u... Secesyonistów.

A propos „Secesyi“. Otwarta i ona. Podobno bardzo dobra, krążą jednak głuche pogłoski, że to już ostatni jej występ na tym świecie, i że na rok przyszły zleje się napowrót z „królewskim“ Glaspalastem..... Niewierne to więc i buntownicze dziecko, które nie mogło dłużej znieść koteryjności, zaśniedziałej rutyny i jednostronności papy Glaspalastu, i poczuło w sobie dość siły, by się oderwać od niego i stworzyć pod własną egidą i własnym protektoratem wystawę „niezależnych“, gdzie obok największego, że się wyrażę po malarsku „kiczu“, można było znaleźć rzecz godną uwagi, zachwytów i uwiecznienia, — dziecko to zbuntowane zmiękło w swym uporze i kornie chyląc głowę, wraca pod ciepłe, opiekuńcze skrzydła królewskiego ojca.... A szkoda! Już może nie tego nawet, że młodzi artyści własne drogi torowali i przebojem naprzód szli, ale choćby tego, iż duch szlachetnej opozycyi wszędzie, w najlepszych nawet sprawach staje się często nieodzownym i nieodbicie potrzebnym dla prawidłowego rozwoju stosunków.

Tak więc, jak nadmieniłem, z ciekawością wstępowałem w progi przybytku piękna i sztuki. W przeszłym roku, mając sposobność widzenia wystawy, wyniosłem z niej wrażenie jaknajsympatyczniejsze; byłem ciekawy, jaka też będzie tegoroczna, czy przewyższy poprzednią, lub naodwrót, czy poprzednia zdyskredytuje obecną?

Na samym wstępie zostałem uderzony gwarem rozmów, prowadzonych w językach francuskim, angielskim, rosyjskim, polskim, rumuńskim, serbskim itd. itd. Jest to bardzo naturalnem. Monachium obecnie ugaszczać zacznie całe roje tych różnojęzycznych ptaków, które od 1 czerwca począwszy nie omijają sposobności, by wpaść do nas i zobaczyć, co jest do widzenia na wystawie...

Pozwólcie, bym biorąc się do opisania tegorocznego salonu zaczął od rzeźby, choćby dla tego, iż dano jej tu miejsce (jak zwykle) na samym środku, tak że zaraz od drzwi wchodowych rzuca się w oczy.

Z góry pozwolę sobie wypowiedzieć zdanie, które zdaje się tu być powszechnem: oto tegoroczna wystawa w Glaspalaście pod względem doboru i wartości dzieł ustępuje przeszłorocznej. Ja dodam, że w rzeźbach to się odczuwać daje najdotkliwiej...

Podczas gdy w roku przeszłym było w dziale tym dość utworów bogatej fantazyi i nietuzinkowej myśli (o wykonaniu już nie mówiąc), w bieżącym uderza pustka, jałowość, szablon. Kilka biustów jak zwykle, — kilka główek jak zawsze, — parę fragmentów — oto i wszystko. W dziale malarskim również utworów natchnionych, głębiej pomyślanych, prawie że nie ma. Zewsząd wygląda rozpaczliwy brak pomysłów i tematów, czczość myśli i ubóstwo ducha... Drzewa i trawa, gęsi na trawie, martwa natura, krowy, woły i owce, niemieckie Kaśki i Maryśki z opasłymi Johannami i Gottliebami, naga kobieta, rozrzucona tak sobie bez wszelkiej myśli — oto temata tutejszych obrazów i obrazków... Nie będę się sprzeczał o to, czy te wszystkie trywialne pospolitości nie mogą być malowane dobrze, świetnie lub wspaniale, — na to zgoda, ale wybaczcie, chyba sami żądacie od sztuki jeszcze czegoś więcej... I łatwo można zauważyć ten ogólny głos narzekania, że sztuka, jak w błędnem kole, kręci się w pomysłach aż do dna wyczerpanych...

Ten i ów z młodych zrywa się do lotu, odrzucając na bok z niechęcią „trawki“ i „owieczki“ i w każdym obrazie stara się uwydatnić to „coś“, co miałoby myśl i ideję. Dobre to, szlachetne i na gorące poparcie zasługujące, cóż, kiedy wielu wpada w przesadę i ugania się często za „idejami“ zupełnie niemożliwemi, fantastycznemi, w pobudzeniu chorobliwem chyba zrodzonemi. Spoglądam nieraz i nic nie rozumiem...

Na samym wstępie przy drzwiach, wprost siebie ustawione, sterczą dwie naturalnej wielkości figury heroldów średniowiecznych na koniach, zakutych w zbroję i z lancami w rękach. Bronz to, zbroja zaś z blachy. Konie doskonałe, jak żywe. Jest to dzieło Rudolfa Maison, zamieszkałego w Monachium. Dalej widnieje „Fragment do wodotrysku w Lipsku“ Jakóba Ungerera, duży, nie osobliwy, gdyż pozbawiony cech oryginalności... Z szablonowych, wiecznie na jedno kopyto i według jednej miarki fabrykowanych posągów, zanotować można pomnik cesarza Wilhelma I na koniu, roboty Klemensa Buschera z Düsseldorfu. — Pomnik ma stanąć w Frankfurcie nad Menem. Wszędzie, a więc i tutaj, nie brak bachantki, lubieżnie na skórze tygrysiej rozrzuconej (Wind z Monachium), damy kameliowej (Cifareriello z Rzymu) i nagiej kobiety z bronzu, leżącej bez zbytnio mądrego wyrazu na twarzy (Du Bois, Bruksella). Tytuł jej: Milczenie. Z lepszych rzeźb zanotować wypada „Poetę“ Karola Desvergnes'a z Paryża: Naga postać młodego mężczyzny (marmur), z piórem w ręku, zabierającego się do pisania w chwili natchnienia. Tak należy się domyślać, gdyż wyrazu prawdziwego upojenia twórczego na twarzy nie widać. „Szał miłosny“, to kobieta obnażona, z przymrużonemi namiętnie oczyma i wyrazem lubieżnej ekstazy w obliczu. Ciało jej okręca brzydki wąż. Jest to dzieło Francuza Le Roy, zamieszkałego w Genui. „Kain“ Józefa Magra z Lipska przedstawia głowę mężczyzny z ognistym, pałającym wzrokiem i namiętnym skurczem mięśni w twarzy, zapatrzoną w górę.. Z ciekawością przypatrywałem się temu wyrodnemu synowi Adama, ze względu na zapowiedzianego przez naszego rzeźbiarza Romana Lewandowskiego „Kaina“, do wykonania którego w pracowni swej wiedeńskiej już po ukończeniu „Żniwiarki“ przystąpił.

O tym narodzić się mającym „Kainie“ usłużna reporterya doniosła, że ma być on wyobrazicielem symbolicznego uzmysłowienia zbrodni i psychologicznem uwydatnieniem duszy zbrodniarza. Z ciekawością więc patrzałem na „Kaina“ Magra, starając się go porównać z „Kainem“ Lewandowskiego, takim, jakim mi go wyobraźnia przedstawiała. Trudne to jednak było zadanie... „Kain“ Magra — to zwykły namiętny, zadąsany mężczyzna, wpatrujący się w przestrzeń z zawziętością, którą może słodka kochanki ręka ułagodzi... Nie ma tu w nim nic „zbrodniczego“ nic demonicznego nawet. Czekajmy, co nam Lewandowski pokaże.

Zresztą warto tu zaznaczyć, że idea „Kaina“ w malarstwie i rzeźbie błąka się nie od dzisiaj. Wielu już próbowało uchwycić znamienne rysy tego pierwszego na świecie zbrodniarza, a i na obecnej wystawie w Glaspalaście możecie oglądać obraz nie duży Matiegzecka z Monachium: Kain nagi, po zabójstwie brata ucieka w lasy, głowę w rękach skrywszy. To stanowczo wywiera pewne wrażenie i zastanawia.

Chciałbym tu jeszcze z rzeźb zanotować dwie wielkie grupy, które bądź co bądź zasługują na głębszą uwagę. Pierwsza — matka ukrzyżowana, brutalnie powrozami białemi skrępowana, które wpijają się w jej delikatne ciało kobiece, przyciska do siebie i osłania jedyne pewnie dziecię, które się

pod skrzydła jej schroniło. Jest to „Mutterliebe“ Fuchsa z Rzymu. Druga grupa, w pomyśle nie zbyt nowa i rzecz stara jak świat, opiewająca, lecz ratująca jeszcze jako tako honor rzeźbiarza, to „Artysta i życie“ J. Jordana z Monachium. Naga kobieta stoi na podwyższeniu, a ku niej wdziera się „artysta“. Ona zaś wieńczy go koroną... cierniową. Warto nadmienić, że dla dopełnienia ironii i goryczy, powabna ta kobieta ma koło siebie jeszcze złotego cielaka, na którym opiera swą białą, toczoną rączkę... Ach, czytelnicy! Ta zwodnicza syrena — to życie, a ciernisty wianek jedyna za pracę i szarpanie ducha nagroda!...

Dziwne wrażenie pozostawia tu pierwszy rzut oka. Z początku zdaje się, iż te ciernie to laury, a wieńcząca kobieta dobra wróżka, ale wnet mija złudzenie i usta wykrzywiają się bolesnym uśmiechem.

Jordan z boku umieścił parę wierszy, które objaśniają jego ideę:

. . . . .Um Lorbeer,
Nicht um den goldnen Gotzen müht sich
und strebet der Künstler,
Doch das Leben ihm krönt — nur mit
Dornen das Haupt...

Ładne, prawda? choć stare.

Na tem kończę przegląd rzeźby, która jest tu dość licznie reprezentowaną... — Wychodzę niepokrzepiony na duchu, oczy moje zwracają się z upragnieniem w stronę tych niezliczonych obrazów, które wiszą na ścianach Glaspalastu. Żywię nadzieję, iż widok ich poprawi wrażenie. Zwracam się do najlepszego może z lepszych obrazów. Jest nim płótno Maksa Kinga, berlinczyka. „Spoczynek po kąpieli“. — Naga kobieta, nie sprawiająca coprawda wrażenia wydobytej świeżo z ożywczej wody Wreny, lecz jakby naumyślnie dla kokietowania rozebrana i odwrócona ku nam wielkiemi, wydatnemi i soczystemi udami, zdolnemi przyprawić niejednego goretszego o przyspieszone falowanie krwi, pełna ponęt zmysłowych i tego, co starzy rozpustnicy wykli nazywać „zapaszkiem kobiecym“, leży na koronkowej pościeli i czyta książkę. Za letą tego „aktu“ jest oryginalna robota i oświetlenie. Ciało jędrne i prawdziwe.

Potem jest obraz Scholza z Drezna „Zwyciężony“, odznaczający się smutną prawdą. Starzec, ponuro podparty na ramieniu siedzi w izbie, a przed nim stoją dwaj młodzi i wpatrują się w niego z współczuciem... Falmi'ego „Postrzyżyny“, dobrze oświetlone, Kunza Meyera „Sehnsucht“, duży, ładny obraz: kobieta na złomie skalnym, do połowy w draperyę przybrana a przy niej chłopiec... W tym samym rodzaju jest obraz Raubera „Andromeda“: naga kobieta nad morzem o skałę oparta, oczy przestraszone do góry podniosła i wpatruje się gdzieś w dal z trwogą. Do tego „Nu“ dodać trzeba jeszcze Oliviera nagą kobietę na trawie pełnej kwiatów, otoczoną pawiami na tle zielonych drzew. Wykonanie świetne. Z religijnych obrazów zwraca uwagę Hartmanna „Pieta“: Chrystus w objęciach Maryi, dobrze malowany. Tego samego malarza jest też „Adam i „Ewa“, obraz oryginalny, cały w lekko niebieskim tonie trzymany.

To zdaje mi się z najlepszych — wszystko. Są jednak jeszcze niektóre płótna, na które chciałbym zwrócić uwagę, mianowicie dobrze i oryginalnie malowane obrazy amerykanina Levisa Herzoga z Filadelfii i Leibla z Abling, na obrazy t. zw. „ideowe“ na dział naszego polskiego malarstwa, które na wystawie w Pałacu Kryształowym przedstawiają panowie Czachórski, Gierymski, Brandt, Wierusz-Kowalski, Horowitz i Malczewski.

A więc Herzog wystawił aż 14 obrazów i obrazków, z których trzy się wyróżniają. W deszcz, nad brzegiem morza, wędruje kupa ludzi pod parasolami. Oświetlenie oryginalne. Potem drugi „Schmutzweg“: Wiejską drogą, również w deszczu rzęsistym, wracają ludzie pospiesznie do domów, — i wreszcie, najładniejszy chyba, duży obraz, „Burza“. Stado owiec, gnane przez małą dziewczynę, ucieka przed nawałnicą, drzewa jęczą i łamią się pod ciosami wściekłego wichru, niebo ciężkie, pełne chmur i jakby płonące. Wszystkie te obrazy malowane są grubo, niedbale na pozór i niestarannie, same „plamy“, a jednak oryginalne i nie po blagiersku efektowne. Dużo tu tego, co w malarstwie nazywa się: „Stimmung“ nastrój.

Leibl wystawił coś 8 obrazków, między innemi „Tischgesellschafft“ i studyum staruszki „Bildniss-Skizze“. Świetnie przedstawiono to chude, nędzne, trupie ciało żyjącego szkieletu, a szczególniej ręce, do rąk zasuszonej mumii podobne.

Z krajobrazów wybitniejszych doprasza się o zanotowanie śliczny, oryginalny, cały żółty, w łagodnym tonie trzymany widok starego uroczyska, miejsca dawnych ofiar, składanych bogom na cześć, — Wilhelma Bombacha. Uderza to wdziękiem i do złudzenia naśladuje prawdę. Wymienić muszę wreszcie i „Zorane pole“ Dubowskiego, Rosyanina. Zdaje się, że się schylisz na tem polu, by chwycić w pełną garść tej ciemnej, soczystej ziemi, która ci tak rodzoną przypomina.

Dubowskoj wraz z Rouband'em, uczniem naszego Brandta (jest to na pół Rosyanin, na pół francuz) reprezentuje malarzy rosyjskich, których w roku zeszłym było tu daleko więcej. Rouband'a „Muzułmanie przed modlitwą“ i „Bitwa pod Kuszką (napad czerkiesów), tak samo wreszcie jak i jego obraz, znajdujący się w Pinakotece monachijskiej (nowej) p. t. „Przejście przez Dniepr“, są niewolniczem, nie wyzwolonem zupełnie z pod wpływu nauczyciela naśladownictwem Brandta, choć przyznać trzeba, że malowane wspaniale.

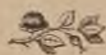
Z obrazów „ideowych“, a jest ich bardzo niewiele, trzeba zaznaczyć „Koniec świata“, ogromny, tryptyk Waltenbergera, no, i nie dość zrozumiały, lecz może dla tego właśnie skupiający dużo widzów koło siebie obraz Guillerego „Zniweczone sny“. Grupa jakichś dzikich postaci otacza zrozpaczonego mężczyznę, który twarz położył na stole i zakrył ją ręką. Obok tego mężczyzny siedzi szkielet ludzki, — śmierć — i wytrzeszcza ku niemu białe zęby swoje. Wieczór już jest, więc na stole pali się lampa, rzucająca świetne blaski na około i szczególnie dobrze oświetlająca część postaci mężczyzny. To światło jest jednym z potężniejszych w tym obrazie czynników, działających silnie na wrażliwszego widza.

Polskie malarstwo wystąpiło ubożuchno. Niema nawet tego, co to mówią „wenig, aber gut“. Z pewnością lichoty w tem wszystkiem nie znajdziesz, broń mnie Panie Boże od tego zarzutu, ale i nic nadzwyczajnego, nic, coby kazało się przed temi obrazami zatrzymywać i podziwiać. Polaka interesują te płótna, jako polskie na dalekiej obczyźnie dzieła, niemcy przechodzą obojętnie, tak jak mimo wielu, dalej. Z młodych artystów nie wystąpił nikt, zupełnie nikt, natomiast pojawiły się obrazy starszej generacyi Brandta, Czachórskiego, Gierymskiego i Kowalskiego, wszystkich stale w Monachium zamieszkałych i Glaspalast corocznie pracami swojemi zasilających. Z „nowych“ — nikogo, literalnie nikogo. Brandt wystawił obraz, pono już dawniej malowany, p. t. „Bitwa“. Przy płocie wiejskim rajtarya szwedzka naciera na kupę Polaków walczących zajadle. Obraz ten nie różni się niczem od innych w tym rodzaju Brandtowskich utworów, nie stanowi zaś pewnie najlepszego z dotąd przez mistrza namalowanych.

To samo da się powiedzieć o „Do miasta“ Wierusz-Kowalskiego. Notować to trzeba chyba dla tego, że nasze. Chłopski wózek, w trójkę koni zaprzągnięty, w nim trzy kobiety i chłop. Niebo zachmurzone, droga szara. Laurów ten obraz autorowi nie przysporzy. Są jeszcze: Czachórskiego „Podarek“, Aleks. Gierymskiego „Noc“, motyw z Monachium i L. Horowitza dwa portrety męskie.

Kończę to sprawozdanie na obrazie Jacka Malczewskiego z Krakowa, zatytułowanym „Jesienią“. — Polskość tego utworu bije widza już zdaleka w oczy, a to dzięki naszej swojskiej Kasi czy Marysi, swobodnie leżącej „na brzuchu“ na otwartej łące i nakrytej niebieską w białe pręgi płachtą, jakiej włościanki nasze w Polsce powszechnie używają. Widać, że korpulentna i zdrowa „Maryś“ myśli nad czemś dość silnie, ba, może o „Jontku“, co się niedługo zjawi? Szczera to polska dziewucha!

J. D. A.





Ruch kobiecy na ziemi galicyjskiej.

III.

Lwów, w połowie czerwca.

(Jeszcze o Stowarzyszeniach lwowskich i przemyskich. O wakacyach dla szwaczek. — Stare przysłowie o prawdzie).

Dobrej woli ludziom nie brak nigdzie, a tembardziej u nas. Niezawodnie, że właściwością naszego wieku nerwowego jest osobny gościniec dla chęci i teoryi, a osobny dla czynu i praktyki, tak, ażeby się rzadko ze sobą spotykały. Mimo to przyznać musimy, że w ostatnich czasach dokonane zostały u nas urządzenia takie, przed któremi z całem uznaniem i sprawiedliwością uchylić czoła należy. Istnieje od lat kilku we Lwowie stowarzyszenie t. zw. „Związek koleżeński byłych seminarzystek“. O stowarzyszeniu tem cicho, bo i one ciche, nie szukające rozgłosu, ale znaczące swój byt takiemi pomnikami, jak ogromny budynek przy ulicy Kurkowej, w którym „związek koleżeński“ urządził internat dla ubogich seminarzystek, istniejący od 4 lat. Komu wiadomo, jak ciężką jest egzystencya wielu kandydatek do stanu nauczycielskiego, ten dopiero zrozumie należycie, jak szlachetnego obowiązku społecznego dopełnił „Związek“. Najnowszem zaś dziełem tego stowarzyszenia jest kolonia wakacyjna dla nauczycielek, założona w przepięknej okolicy w Łomnie. Do Łomny wyjeżdżają nauczycielki i otrzymują za bardzo małą opłatą całe utrzymanie i pomieszkanie, a jest nawet 5—10 miejsc zupełnie bezpłatnych dla potrzebujących tego. — W uznaniu zasług „Związku“ przystępujemy do wzmianki o rodzonej jego siostrze, — o stowarzyszeniu nauczycielek: mieści się ono w lokalu dogodnem, w rynku, i ma swe biuro dla naucielek prywatnych, poszukujących miejsca, a oprócz tego zajmuje się mnóstwem spraw wchodzących w zakres nauczycielstwa kobiecego, np. lokacyą kandydatek podczas egzaminów ich we Lwowie itd. Nadto odbywają się pogadanki i odczyty w sezonie zimowym w lokalu stowarzyszenia, — słowem jest życie, jest praca i ruch.

Obecnie, gdy wszyscy zbliżającym się czasem wakacyjnym zajęci, pomyślano i po innych miastach, ażeby biedne, słabowite i

wyczerpane nauką przy niedostatku dzieci powysyłać na wieś. Przodownictwo w tej mierze wziął Przemyśl, gdzie Koło pań tow. Szkoły ludowej wystąpiło z inicyatywą kolonii wakacyjnych, na wzór lwowskich. Pospieszono z datkami na ten cel, a zarazem znalazł się ofiarodawca, który na usługi kolonii oddaje dom swój w leśniczówce; znając piękny, szpilkowy las Chołowic, cieszymy się serdecznie, że dziatwa przez 6 tygodni będzie mogła oddychać takiem wybornem, balsamicznem powietrzem. — Warszawa, zawsze tak szczerze zajmująca się dolą pracownic, od lat dwóch wysyła staraniem pań z „delegacyi pracy kobiet“ ubogie szwaczki na wieś do dworów, potrzebujących na czas letni mieć u siebie do kilkagodzinnej pracy krawczynie lub szwaczki. Krawczynie te otrzymują wynagrodzenie odpowiednie, mieszkanie, stół zdrowy i dostatni, dużo mleka i wytchnienia. — Za przykładem Warszawy podjęto i u nas tę myśl, zwłaszcza za pośrednictwem czasopism, i jak się dowiadujemy, panie z okolic podlwowskich (Janów, Bóbrka, Kurowice, Winniki) oraz dalszych z pod Stryja zgłosiły do redakcyi „Przedświtu“ dziesięć ofert dla tego rodzaju pracownic. Cztery lata wychodzący we Lwowie „Przedświt“, rozpowszechniony bardzo, zwłaszcza na prowincyi, znany po wszystkich wsiach naszej Galicyi, będzie mógł być arcyużytecznym w lokowaniu szwaczek po wsiach, — dla tego nawet osobne przeznaczył godziny w biurze swem dla ubogich pracownic, spragnionych świeżego powietrza i odpoczynku.

Zdaje się, że sprawozdanie moje z ostatnich wypadków jest wierne, cóżby tedy dodać dla uzupełnienia? Festyny chyba, które u nas mają zawsze wielkie powodzenie, zwłaszcza, że panie nasze festynami umieją się zajmować z niesłychaną gorliwością. Na dowód niechaj posłuży ilustracya z przygotowań do festynu na dochód weteranów powstania z r. 1863. Wezwane przez prezydentową miasta, zebrały się panie w tak znacznej liczbie, że posiedzenie nie mogło się odbyć w sali prywatnego mieszkania pani prezydentowej, lecz w głównej sali ratuszowej. Prócz pań, rozumie się, byli i mężczyźni. Rozdano listy do zbierania fantów i w kilka dni zapełniono wszystkie, a festyn ma wszelką perspektywę powodzenia, jeśli tylko pogoda dopisze.

A gdy już chodzi o dopełnienie obrazu różnemi barwami tu wymalowanego, dodać muszę, że skoro odważyłam się w pierwszym obrazku ze Lwowa przedstawić rzeczy w barwach codziennych, nie ubierając ich w odświętne sukienki, znalazły się natychmiast osoby, które podniosły krzyk o kalaniu własnego gniazda, osobistych wycieczkach itp. Stara to historya, stara drażliwość rodu kobiecego, popsutego karmelkami odwiecznemi. Otóż zapewniam te zirytowane siostrzyczki moje, że przedstawiając stan rzeczy i istotne stanowisko tej lub owej instytucyi, nigdy nie kieruję się osobistemi względami, lecz jedynie względem na dobro sprawy. W imię prawdy ogłosiłam sprawozdanie moje z ruchu kobiecego, nie schlebiając nikomu, nie krzywdząc nikogo. Prawda często autorowi osobiście napyta kłopotu, lecz pomimo to powiem: „świeć się, świeć się prawdo złota, żyj i kwitnij w łez padole“.

J. Aleksota.



Echa rosyjskie

z Pola Chodyńskiego.

Przeznaczona na zabawy ludowe przestrzeń pola Chodyńskiego obejmowała 25 tys. sążni kw. Wznosiły się na niej namioty z poczęstunkiem, pawilony i teatry ludowe. Już w przeddzień zabawy ludowej na polu Chodyńskiem zaczęły się zbierać tłumy wielotysięczne. Wszystkiemi traktami ciągnął lud. Wszystkie pociągi idące ku Moskwie, były przepełnione. Żeby dostać się do pociągu, prości chłopi brali nawet bilety pierwszej klasy. Opustoszały zupełnie wsie i sioła podmoskiewskie: wszystko zmierzało do Moskwy. Wieczorem wzdłuż całej ul. Twerskiej stały tysiące i tysiące niedorostków, dzieci i kobiet — i wszystko to niekończącym się sznurem ciągnęło na miejsce zabawy.

„O godz. 4 rano — pisze korespondent „Piet. Gaz.“ — było nas kilku dziennikarzy na Chodyńskiem polu. „Dla czego nie ma tu pomiędzy nami wielkiego artysty? wołał wprost oszołomiony tym widokiem Dalheim z „Temps“; nic, nic podobnego nie mógłbym sobie wyobrazić nigdy. Toż tu, co najmniej milion ludu, wszak ludność całego państwa zebrała się na tem polu.“

Korespondent „Birż. Wied.“ tak tłum zebrany maluje:

„Kiedy się widzi to bezbrzeżne morze głów, można zrobić sobie przybliżone pojęcie o całej potędze żywiołowej, jaka się kryje i rozwija w owej zbiorowości, która nosi nazwę ludowego zebrania, w rzeczywistości zaś jest tylko nikłą częścią narodu całego. Z pośród tego morza ludzkiego niby słabe, zaledwie dosłyszalne echo, dolatywały dźwięki oderwane jakiejś pieśni chóralnej lub muzyki prostaczej, lecz wszystko to ginęło i zlewało się w jeden zmieszany zgiełk gwaru tłumów, unoszący się nad placem całym. Jako drzazga nic nie znacząca zginąłby w tem morzu, ktoby się odważył przecisnąć przez ten tłum nieprzejrzany.“

Korespondent „St. Petersb. Ztg.“ porównywa swe wrażenie, gdy minął wrota tryumfalne i otoczony został obłokiem kurzu, z tem, jakiego raz tylko doznał w życiu swojem, a to patrząc na obraz, przedstawiający karawanę, duszącą się wśród Samumu. Widok był straszny.

Katastrofa moskiewska zajęła uwagę powszechną i wszyscy szukają rozwiązania zagadki, w jaki sposób mogło zdarzyć się nieszczęście podobne. Wydawca „Swieta“ p. Komarow, nadmieniwszy, że urządzanie zabaw ludowych na Chodyńskiem polu stało się w Rosyi tradycyjnem — dodaje:

Jeżeli mówić o błędach, to (jeżeli nie uważać za błąd w ogóle urządzania zabawy na 500,000 osób, nie uorganizowanej według stanów i sfer społecznych, według rodzaju zajęć, bytu, stosunków, rzemiosł itp.) za błąd chyba uznać należy tylko to, że nie rozdawano poczęstunków i kubków od godz. 6 wiecz. 17 maja, tj. od chwili, kiedy lud zaczął się zbierać“. Opisując w dalszym ciągu katastrofę i wskazując, że dużo do nieszczęścia przyczyniły się wąskie wyloty między namiotami (tu miał miejsce drugi moment katastrofy) W. K—w pisze: „Mówiłem z wieloma, którzy w owej chwili znajdowali się wśród tłumu i przypadkowo ocaleni zostali od śmierci. Jednych przyciśnięto do ścian namiotu i, rzec można, o te ściany zmiażdżono. Okropną była śmierć tych ludzi. Powyciskano im brzuchy, przełamano żebra. Krew tryskała im z gardła. Nie wszyscy jednak zostali na miejscu. Kto wpadał w dół albo kanał — ten ginął. Potknąwszy się, został wywracany i w jednej chwili stratowany przez żywiołowo pędzącą masę. Dwóch świadków naocznych opowiadało mi w konwulsyach i ze drżeniem nerwowem, jak czuli, że szli po żywych ludziach, stąpając im po brzuchach, piersiach, głowach i nie mając możności odwrotu, ruszali się i byli poruszani przez tłum.. Inni ginęli wskutek błędu nie do darowania ze strony kilku rozdających dary, którzy widząc ciasnotę i pragnąc jak najprędzej załatwić się z rozdaniem poczęstunków i kubków, rzucali takowe pomiędzy tłum. Kto uchwycił je podczas lotu, był ocalony, ale kto się nachylił — był stracony. Kiedy tłum roznamiętniony spostrzegł, że depce po ludziach żyjących, począł uciekać nagle w kierunku przeciwnym. Świadek tej ucieczki opowiadał, że niepodobna wyrazić przerażenia, jakie malowało się na twarzach uciekających. Wszyscy chcieli uciekać i uciekali niby warjaci. Najwięcej tu padało i umierało dzieci. Większa część trupów straszny przedstawiała widok“.

„Nowosti“ opowiadają o pierwszych krokach władz śledczych w sprawie katastrofy:

„Publiczność z niecierpliwością najwyższą wyczekuje rezultatów tego śledztwa i wciąż zapytuje: kto winien? Z tem samem zapytaniem korespondent zwrócił się do prezesa komitetu, który urządzał zabawy ludowe podczas koronacyi N. N. Cara. Wedle wyjaśnienia p. Bera, kiedy w nocy z piątku na sobotę około godz. 4 nad ranem, razem z jen. Iwanowem pojechał na chodyńskie pole, powołany tam przez telefon wiadomością, że naród pędzi wałem — zastał już na placu około 2 0,000 osób, napieranych przez coraz nowe hufce nadciągające z miasta. „Jen. Iwanow powiedział mi — mówił p. Ber, że będzie bieda, że wszystko przepadło, dla tego, że nie ma już żadnej ludzkiej możności utrzymania w porządku całej tej masy, i że jeżeli masa przebije się dalej, wszystko pójdzie dnem do góry. Tymczasem ani na placu, ani przed bufetami nie było jeszcze policyi. Było tylko półtora setciny kozaków w obec półmilionowego tłumu niesfornego, zwartego w masę stałą, z siłą żywiołową pędzącą naprzód! Podbiegli do mnie komendanci obozowi z zapytaniem, co robić?“ Wspomina potem p. Ber o środkach ostrożności, jakie podjęte były podczas poprzedniej Koronacyi już w przeddzień wieczorem — i że d. 18 maja rb. pułkownik Własowski z policyą przybył dopiero o godz. 9 rano, kiedy już były setki trupów. Od dnia 18 wieczorem tłum bez żadnej kontroli i nadzoru zalegał pole. Okoliczność ta w połączeniu z tem, że bufety z piwem postawiono tuż obok kanału, że nie postarano się należycie zasypać dawnej studni artezyjskiej, że na placu były wyboje i doły — stała się pierwszą przyczyną nieszczęścia. „Policya — mówi p. Ber — zaczęła przybywać partyami dopiero około godz. 9 rano, tj. wtedy, kiedy już było po wszystkiem“. Nakoniec jeszcze jedno przyczyniło się do powiększenia nieszczęścia: na całym obszernym placu nie było wody.“

W „Now. Wr.“ p. Suworin kładzie główny nacisk na to, że trzeba umieć rozporządzać i kierować tłumem: „Pozostawiony sam sobie, może stać się zależnym od wszelkich przyczyn przypadkowych i zamienić się w powolne narzędzie prowodyrów samozwańców.“ Na Chodyńskiem polu nie było dostatecznej liczby ani policyi, ani wojska, chociaż od godz. 2 w nocy policya wiedziała, jakie rozmiary przybierał tłum.

„Czy przypuszczano, że tłum nasz jest wzorowym? — pyta. Jakkolwiek chłopski tłum rosyjski mało w czem różni się od tłumu inteligentnego, wzorowego nie ma w żadnym z nich nic.“

Tu przypomina p. Suworin skandale, jakie się działy przed kilku laty podczas bezpłatnej kolacyi na balu francuskiego To-

warzystwa dobroczynności, oraz na galowem przedstawieniu w teatrze Wielkim przy bufetach z szampańskiem. Poczem tak dalej mówi:

„W Moskwie wynaleziono liny żelazne dla powstrzymania nacisku tłumu na ulicy. Ale i liny te pękały, a w przednich szeregach wrzynały się w nie ciała. Celu tego, jak mi się zdaje, lepiejby dopiął rozum, zdolność i energia, aniżeli liny żelazne. Dodać należy — powiada w innem miejscu — że przez cały ciąg dni koronacyjnych tłum sprawował się dobrze. Był to tłum spokojny, posłuszny, trzeźwy, jeżeli zaś był mały nieporządek gdzieś podczas rozdawania ogłoszeń o koronacyi, wywołali go raczej przekupnie, którzy wynajęli sporo obdartusów do wyrywania pięknych arkuszy... Bufety z obu stron były w oblężeniu, ze strony Moskwy i ze strony Chodyńskiego pola, na co pewnie nie zwrócili uwagi zarządzający. Czy obliczono dokładnie, jaka liczba ludzi i w jakim czasie mogła przejść między bufety, otrzymać podarki i odejść — nie wiem. Ale jeśli obliczono, to zapewne w przypuszczeniu, że wszyscy będą wchodzić spokojnie, bez zamieszania, podczas gdy nawet inteligentna publiczność z teatru np. wychodzi bardzo powoli, popychając się i wzajem zatrzymując... Na zasadzie zeznań świadków naocznych i ocalonych, z którymi mówiłem ze dwie godziny, mam prawo powiedzieć, że wśród tłumu były i jednostki podejrzane, bosa komenda z przywódzcami swemi, byli pijacy, raczący się wódką w rowie w noc katastrofy. Co się tyczy udziału tych pierwiastków podejrzanych, jeden z uratowanych tak się wyraził: „był spisek“, t. j. istniał zamiar rozpocząć szturm i zawładnąć jak największą ilością czarek, a nawet wywołać zaburzenie. „Obok mnie — mówił — stały dwie panienki i chłopczyk szesnastoletni. Panienki złożyły ręce na piersiach i trzymały parasolki. „Uwolnijmy panienki — zawołałem — unieśmy je.“ „Nie potrzeba, po co przyszły — usłyszałem odpowiedź. Tłoczono się umyślnie. Inni ocaleni oponowali: „W takich razach każdy myśli o sobie. Żadnego spisku nie było.“ „A ja panu mówię że był“ — odparł pierwszy. „A cóż panienki?“ pytali słuchacze. „Widziałem je później bez życia...“ Jeden z uratowanych tak objawiał swą skruchę. „Patrzę, śmierć. Obejrzałem się, uwolniłem sobie rękę, przydusiłem jednego, ścisnąłem pod sobą i stanąłem na nim... W ten sposób siebie wybawiłem od śmierci.“

„Kto winien?“ pyta p. Suworin.

„Dużo bardzo mówiono o tem w Moskwie. Mnie to jednak mało obchodzi i zdaje mi się, że kwestya ta albo bardzo skomplikowana, albo bardzo prosta — stosownie do punktu widzenia i szczegółowego zbadania wypadku. Śledztwo zapewne wykryje winnych. Nie mogę nie przytoczyć trafnej uwagi jednego z administratorów petersburskich, chwilowo bawiącego w Moskwie. Pomiędzy gospodarzami nie znalazł się nikt, ktoby — wyrażając się obrazowo — tak głośno zawołał „gwałtu!“ iżby wszyscy skoczyli i zapobiegli katastrofie. A można to było zrobić i czasu było dosyć.“

„Niech jednak nieszczęście będzie do[illegible] dla nas nauką“ kończy p. Suworin.

„Tłum moskiewski — to coś starodawnego, zarywającego czasami Aleksieja Michajłowicza; tchnie to szynkiem, wątpliwą lekturą i wzrastającą zawiścią do klas posiadających. Wyobraźcie sobie tylko, że w ciągu jednej nocy może się zebrać w mieście tłum 600—800 tys., w tłumie zaś takim zawsze się znajdzie żywioł awanturniczy. Dla niego samego i dla innych w najwyższym stopniu niebezpiecznem jest pozostawiać go własnej woli, jak stado bez pastucha... Trzeba wychowywać masę, szerzyć wśród niej zdrowe pojęcia i karność. Kościół sam, który dotychczas służy tłumowi i za kościół i za szkołę, nie może sprostać podwójnemu temu zadaniu, w obec niesłychanego wzrostu ludności. Nietylko rząd, ale i społeczeństwo pomyśleć powinno o środkach wychowania. Na wszelki wypadek koniecznem jest pamiętać, że nie trzeba nigdy dawać tłumowi ani powodu, ani możności do rozporządzania się gdziekolwiekbądź.“

TO I OWO.

Dla zakochanych.

Kaźmierz Tetmajer ogłasza w „Kuryerze Codziennym“ nader interesujące listy z włoskiej podróży. Z ostatniego listu, pisanego w Desenzano nad Lago di Garda, cytujemy ustęp następujący:

„Przypłynąłem tu dziś statkiem z Rivy. Nagie, skrzesane, czerwonawe skały, wązki wbieg jeziora między te piętra, ze wszystkich stron góry ogromne i niezmiernie puste; wszystko to czyni Rivę, mimo południowej strony świata, posępną. Góry są czasem za ciężkie, nawet dla nas, górali z pochodzenia. Czasem dusza potrzebuje szerokiej przestrzeni, szerokiego powietrza, aby się po niem tułać mogła i przed samą sobą uciekać; czasem potrzebuje takiej łagodnej zieleni, aby się mogła kryć sama przed sobą w gąszczach; czasem potrzebuje także takiej cichej wody, która ma kolor jednej ogromnej łzy...

Vogue la galère!... Vogue la galère!...

O tej porze mnóstwo niemców się żeni i przewłóczy swoje miodowe miesiące po Alpach i Włoszech. Spotykałem takie pary w wagonach w Tyrolu, spotkałem w Rivie, miałem na statku i tu w tej małej włoskiej mieścinie spotykam. Wszyscy są dziwnie ordynarni, bezceremonialni i niezajmujący: mniejsza już o to, że co dwudziesty trzeci niemiec nie je ryby nożem. Nie żenują się tak, że gdzieś koło Franzensfeste byłem pewny, iż będę świadkiem sceny, o której lubią marzyć młode i stare panny. Byli bardzo blizko siebie i on wśród pocałunków coś jej szeptał. Mówiłże jej w języku Heinego: „ty moja, ty moja, ty świecie mój jedyny, ty ukochanie moje najmilsze, ty umiłowanie, życie moje, duszo moja, kocham cię sercem, kocham cię mózgiem, kocham cię krwią moją serdeczną, ty wszystko moje?...“ Dalibóg, nie komponuję: wśród pocałunków i kiedy byli tak blizko siebie, ten niemiec spytał się swojej niemki: *du, was hast du dem Kellner gegeben?* A ona mu wśród pocałunków odparła: *Dreissig Kreuzer, Schatzi...*

On, o ile puszczał ją z rąk, to tylko po to, aby brać do nich Bedekera i czytać jej, ile metrów ma długości który tunel, a jak się która góra nazywa. Ona słuchała i pytała się go, czy nie głodny. Widocznie sobie nie mieli nic więcej do powiedzenia, bo skoro się nie żenowali w „czynach“ czemuż mieliby się żenować w rozmowie? Jeżeli jemu to wystarcza, tem lepiej dla niego; jeżeli jej to wystarcza, tem lepiej dla niej... Wahlverwandschaft przedewszystkiem. Kura z kaczką, czy indyczką zrozumie się łatwo, ale rajski ptak z sokołem — nigdy...

Znów gdzieś daleko bije dzwon... Burza poszła stroną, cicho jest i łagodnie. Niezmierna jakaś melancholia schodzi na świat. „O takiej porze — jak to jest u Słowackiego? — jeśli coś mają zapomnieć, zapomną...“ Czy tak?

Czytelniku, któryś się jeszcze nie ożenił, a ożenisz z dziewczyną młodą, śliczną i dobrą, przyjedź tu do Desenzano. Będziecie sobie chodzili po gajach nad wodą, która jest nieba kawałem odjętym, a ma w sobie taką senność jakąś, taki spokój niezmienny i cichość. Będziecie sobie tu chodzili, będziesz róże zrywał i dawał jej, a ona przypinać będzie róże do gorsu z takim anielskim uśmiechem... To jest dosyć przykre, jeśli się na całym wielkim świecie nie ma komu jednej róży dać.. Wszak sam Bóg rzekł: źle jest człowiekowi samemu; ja znam jeszcze jedno słowo, nie tak wielkie, ale smutne, jak śmierć...

Będziecie sobie chodzili nad jeziorem, przytuleni do siebie, rękoma opleceni nawzajem, ona z główką na twojem ramieniu, albo wsiądziecie w łódkę i puścicie się na ten kryształowy sen wód, na te przejrzyste, złotawe lazury jeziora. Będziesz ją miał przy sobie, tę twoją ukochaną, serdeczną, blizko, „bijącą sercem, brylantową w oczach“.... Powoli, powoli, ogarnia was jakieś omdlenie. Tobie wiosła wypadną z rąk, a ona pochyli się ku tobie jakby mimowolnie, upadnie ci na piersi i szepnie: „kocham“.... A ty jej wtedy odpowiesz: „Oto serce moje jest w twojem ręku, jak ptak zmęczony.... masz je całe, całe, i możesz wszystko z niem zrobić“...

Bywają różne dusze kobiece, ale są także takie jak gwiazdy.

Może kiedy który z czytelników siedzieć będzie ze swoją ukochaną na tej samej werandzie Hôtel Du colombe, pod bluszczową altaną, w której ja piszę w tej chwili; będziecie sami, bo tam jest pusto. Przypomnę ci się ja, żem ci tu poradził przyjechać, a jeśli znasz moje wiersze, przypomni ci się moje preludium:

Mów do mnie jeszcze.... ludzie nas nie słyszą,
Słowa twe dziwnie poją i kołyszą,
Jak kwiatem, każdem słowem twem się pieszczę...
Mów do mnie jeszcze....

Mów do mnie jeszcze.... Za taką rozmową
Tęskniłem lata.... Każde twoje słowo
Słodkie w mem sercu wywoływa dreszcze....
Mów do mnie jeszcze....
Mów do mnie jeszcze....

Są chwile takie, jak chwile śmierci — kiedy się wszystko przypomina tak żywo, tak wyraźnie, kiedy słyszysz szelest oddechu i szelest sukien, słyszane kiedyś dawno, dawno, może lata całe temu, kiedy ci się zdaje, że przy dłoni czujesz dłoń, co się jej może lata całe temu dotykała... Odpędzaj takie chwile przyjacielu i *carpe diem*, korzystaj z dnia, jak radzi rzymski poeta. Vogue la galere!...

NA WYŁOMIE.

(Emigracya talentów. Jej przyczyny. Wina prasy. Czas do odwrotu!)

„Kraj“ petersburski zamieścił w najświeższym numerze krótką notatkę o życiu intellektualnem Księstwa, protestując przeciwko smutnej legendzie o „umysłowem omdleniu Wielkopolski“ o „wyczerpaniu się siły stwarzającej talenty“, o „wyjałowieniu gleby, która wydawała Libeltów, Marcinkowskich, Mielżyńskich“ itd. — „Kraj“ przeczy hypotezie, jakoby „dzieci obdarzone zdolnościami przestały się rodzić nad Gopłem a zaczęły natomiast przychodzić na świat nad Dunajcem, Sanem i Strypą“, bo zdaniem jego emigracya inteligencyi poznańskiej do Galicyi, — tacy Milewscy, Chotkowcy, Ćwiklińscy, Wicherkiewicze, Dembińscy, Kasprowicze, Gorgolewscy — świadczą wymownie, że dzielnice nasze wydają obfite i wielkie talenty.

Na drugą połowę argumentacyi zgoda, pierwsza natomiast zdaniem mojem sprawę w fałszywem przedstawia świetle i wymaga pewnej korekty. Nie zdarzyło mi się bowiem nigdzie jeszcze ani słyszeć ani czytać twierdzenia, że jakiś dziwny grymas przyrody rzucił w łona matek wielkopolskich okrutną klątwę rodzenia samych nullów umysłowych lub przeciętnych miernot — przeciwnie skarga, która od lat 20 brzmi „nad Notecią i Wartą“ mówi, że prawdziwe siły u nas marnieją lub odlatują, że zatem ziemia nasza rodzi talenty, tylko im warunków egzystencyi i rozwoju nie daje. Jest ona jak matka, która wydawszy dziecko z łona swego na świat, skąpi mu mleka i pieszczoty. „Kraj“ walcząc z legendą o rzekomej bezpłodności Księstwa, sam tę legendę komponuje — należało raczej dokładniej zbadać przyczyny, dla których od lat tylu patrzymy na emigracyę talentów — dla czego, mimo egzystencyi rodzimych sił umysłowych, pustką, coraz większą pustką świeci nasza literatura, sztuka i nauka prowincyonalna. Kto winien? Niewątpliwie w pierwszym rzędzie warunki polityczne Nie mamy uniwersytetu, — dla profesorów naszych zamknięte bramy gimnazyalne — o wyższe stanowiska urzędowe Polak, choćby najzdolniejszy, napróżno się upomina lub szukać ich musi w Niemczech dalekich, — sztuki naszej nie otacza państwo opieką swoją — jednem słowem uczony, literat, artysta-polak żyć musi, a Prusy skąpią mu chleba.

Kto winien? pytam po raz drugi i teraz skarga moja zwraca się przeciw społeczeństwu samemu. Słyszałem nieraz twierdzenie, że talent z siebie jedynie twórczość swoją czerpie, że komu iskra Boża w piersiach się pali, ten nie szuka odźwieku w otoczeniu swojem, nie potrzebuje bodźców zewnętrznych, ani uznania, ani dusz współczujących, — on sobie śpiewa nie ludziom. Tak mówią. Nie przeczę, że takie talenty istnieją, lecz o ile więcej jest takich, które w atmosferze niewłaściwej, w otoczeniu zimnem i oschłem tracą siłę wzlotów, tępieją lub sznurują sakwy podróżne i z dusznych uciekają piwnic. Dla artysty mianowicie właściwe otoczenie jest często nieodzownym atrybutem twórczości. Jemu potrzeba nieco ukochania, nieco dusz słonecznych, nieco tych ech czarujących, które mówią, że ludzie piękno cenią i miłują. On rzadko tylko się zgodzi być „unter Larven die einzig fühlende Brust“, a gdy go otoczenie zrazi swym cynizmem, swą banalnością, swem filisterskiem pojęciem życia, wtedy się odwróci i pójdzie szukać innych serc i innych stosunków. A my? Cóż my dajemy artyście? Ktoś powiedział dowcipnie, że u nas w Poznaniu cenią tylko jednę sztukę, t. j. sztukę mięsa, a u literatów interesuje nas najwięcej przysłowiowa kwestya, czy boso chodzą, czy całe buty posiadają. Serca, szacunku, zrozumienia, zachęty malarz lub poeta szukać tu będzie napróżno, — lada zero umysłowe z pełną sakiewką, spełniające wiernie wszystkie przykazania „ładu i porządku“, cieszy się większem uznaniem i miłością. Sztuka i nauka nie jest w pojęciu naszem wybranką zawodów, — jest to sobie takie samo zajęcie, jak każde inne, z tą tylko niekorzystną różnicą, że mniej złota daje i często łączy się z hardym indywidualizmem, nie lubiącym stąpać w przepisanych deptakach życia.

Do tego obniżenia poziomu artystycznego i umysłowego w społeczeństwie naszem przyczyniły się również niewątpliwie stosunki polityczne: Ogólne zubożenie, gorączkowa pogoń za chlebem, skierowanie wszystkich wysiłków w kierunku obrony narodowej. Lecz bez winy nie są także te rodzime źródła życia, zkąd płynie wychowanie narodu, — bez winy nie jest prasa, odgrywająca tak potężną rolę w społeczeństwie naszem. Ona to rozpolitykowała ludzi, zacieśniła ich widnokrąg, zabarwiła jednostronnie naszą duszę zbiorową, — ona to zamieniła nas w dzielnych żołnierzy, lecz jak z Sparty starożytnej wypłoszyła muzy. A przecież kultura narodu jest jak harfa o tysiącznych strunach. Biada temu, kto tylko jedną potrąca a innym rdzewieć pozwoli.

Tak, prasa wielkopolska stała się dla sztuki i nauki prawdziwą macochą. Jakiś rozpaczliwy kult dyletantyzmu wgryzł się w cały jej organizm, jakiś wołający o pomstę do nieba brak krytycyzmu i lekceważenie piękna szły jak zaraza przez sioła i miasta, pacząc pojęcia i wyjaławiając myśl społeczeństwa. Któż z nas nie czytał w poznańskich dziennikach tych idjotycznych ekstaz nad lada próbką malarską wystawioną w oknach księgarzy, jeżeli autor miał w redakcyach przyjaciół lub mundur nosił koteryi. Któż z nas nie widział laurów składanych u stóp autorów, produkujących nie przedmioty sztuki, lecz gimnazyalne wypracowania. U nas trzeciorzędny reporter bywa często rozstrzygającą instancyą w dziedzinie nauki i piękna. Komuż to nie przyznawano talentu, ba! geniuszu nawet? Trzeba się tylko umieć zabrać do rzeczy, trzeba królom opinii stopy całować i należeć do bractwa, lub być bezbarwnym, banalnym, dla wszystkich grzecznym chłopczykiem. O! nasz strycharz dziennikarski dokonuje cudów. Zrówna malującą pensyonarkę z Rafaelem, rymującego dyletanta z Homerem. I więcej nawet. O wielkich dziełach sztuki i literatury milczą dzienniki, lecz o utworach popełnionych przez członków kliki lub osobistych przyjaciół redakcyi cukierkowe nucą kantyczki.

Tak od lat dwudziestu wychowuje prasa wielkopolska społeczeństwo nasze, głodząc lub krzywiąc smak artystyczny, dusząc zamiłowanie do nauki i piękna. I oto doprowadziliśmy do tego, że wydział historyczno-literacki w Tow. Przyj. Nauk świeci pustkami, że na wystawach obrazów duma samotnie kasyerka, że księgarze poznańscy lękają się jak ognia nietylko naukowych, lecz nawet belletrystycznych nakładów, a taki Gebethner i Wolff, obliczając zyski przypuszczalne z poważnych wydawnictw, w rubryce zaboru pruskiego kreśli wielkie zero.

W tej atmosferze żyć trudno uczonemu, literatowi, artyście, — więc odlatują te górne ptaki i właściwszego szukają otoczenia. Dusz nieugiętych, któreby w imię idei narodowej, mimo męki życia, mimo duszenia się w ciasnych stosunkach naszych, wytrwały i prowadziły walkę zaciętą z jałowem, tępem, wystudzonem społeczeństwem, jest mało, — większość otrząsa pyły poznańskie z nóg swoich i w świat daleki ucieka. Smutne to, lecz psychologicznie zupełnie naturalne zjawisko. Emigracya naszych talentów zmniejszy się wtedy dopiero, gdy społeczeństwo nauczy się więcej szanować, rozumieć i miłować naukę i piękno. Prasa popsuła, prasa powinna naprawić publiczność.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA

* Kupetzky — Pesne — czy Manyoki? Poznań 1896.

Pod powyższym tytułem ogłosił zasłużony konserwator Towarzystwa Przyjaciół Nauk p. *Dr. B. Erzepki* krótką broszurkę, poświęconą spornej kwestyi autorstwa dwóch cennych potretów, znajdujących się w zbiorach muzeum naszego. Pan dr. Erzepki zaprzecza na podstawie gruntownej i zręcznej argumentacyi dotychczasowym przypuszczeniom, jakoby autorem portretów był węgierski malarz Kupetzki, lub Francuz Pesne, — i stawia natomiast twierdzenie, że są one dziełem węgierskiego mistrza Manyokiego. Broszura dr. Erzepkiego zaintryguje niezawodnie dyrekcyę muzeum narodowego w Peszcie, gromadzącą starannie wszystkie wiadomości, odnoszące się do sztuki węgierskiej.

ODEZWA.

Z prośbą o umieszczenie otrzymujemy odezwę następującą:

„Zarząd średniej szkoły żeńskiej (gimnazyum żeńskie) w Krakowie podaje do wiadomości, że dyrektor szkoły Radca szkolny p. Bronisław Trzaskowski będzie przyjmował wpisy do klasy I, (odpowiadającej 5-tej gimnazyalnej) począwszy od 10-go czerwca do 10-go lipca br. codziennie od 10-tej rano do 4-tej po poł. (Pijarska 5, I-e piętro).

Warunki przyjęcia zostały w swoim czasie ogłoszone, obecnie wszelkich informacyi będzie udzielał również pan Radca Trzaskowski.

Dla uczennic zamiejscowych postara się Zarząd o odpowiedni internat, który się podda kontroli Dyrekcyi i zgodzi na warunki przystępne także dla mniej zamożnych uczennic.

Dyrekcya uprasza wszystkich, którzy zamierzają korzystać z średniej szkoły żeńskiej, o wczesne zgłaszanie się, ponieważ tylko pod tym warunkiem będzie mogła poczynić przygotowania, ażeby szkołę odpowiednio do ilości uczennic we właściwym czasie urządzić tak, ażeby rozpoczęcie kursu nie doznało zwłoki

Zarząd

Prof. Napoleon Cybulski.“

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. Na półkach księgarskich ukazała się broszura p. t. „Teatr polski w Poznaniu“. Broszura ta, napisana wytrawnem piórem z wielką znajomością rzeczy i stosunków, zawiera ostrą, lecz ze wszech miar zasłużoną krytykę obecnego kierownictwa sceny poznańskiej i rozumne plany reformy. — Warszawskie teatry ogródkowe cieszą sie w roku bieżącym niezwykłem powodzeniem. — W teatrze krakowskim wystawiono na benefis Józefa Kotarbińskiego Szekspirowskiego „Koryolana“. Krytyka wyraża się z wielkiem uznaniem o grze utalentowanego artysty. — Wodewil warszawski zapowiada nową farsę Kaźmierza Zalewskiego, p. t. „Lichwiarskie swaty“, w której występuje siedmiu żydów. Ponętny to temat dla publiczności ogródkowej. — O dyrekcyę sceny poznańskiej zamierza się ubiegać kilku rutynowanych i miennych przedsiebiorców. Zalecałoby się, aby rada nadzorcza głosiła w jak najkrótszym czasie warunki dzierżawy, bo obecna gospodarka stanowi niechybną ruinę sceny.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Feniks. Feniks? Co za dumne słowo! Z utworu nadesłanego sądząc, autor jest pospolitym trznadlem.

Marya Wa. Dziękujemy za serdeczne słowa. Krecia robota wiadomych osób jest nam najdokładniej znana. Ludzie się jednak zaczynają poznawać na rzeczywistych motywach tych knowań; cała akcya jest i pozostanie bezsilną.

Przyjaciel. 1) Prace K. Bartoszewicza ukazywać się będą po krótkiej przerwie nadal w piśmie naszem. 2) Bylibyśmy bardzo szczęśliwi, gdybyśmy nie mieli innych wrogów prócz takiego „kolegi“.

Weteran. Pismo nasze nie jest założone w tym celu, by schlebiać gustom jaknajszerszej publiczności.

Wierny katolik i Polak. Podzielamy zupełnie pańskie zdziwienie i niechęć, lecz na to bizantyjskie obłąkanie rady nie mamy. Kto wie zresztą, czy w takiem przedstawieniu kwestyi nie tkwi podstępnie konsekwentnie przeprowadzana tendencya.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28